

W S P O M N I E N I A

Hilarwo Kosieckiego zam. we Wrocławiu przy ul. Słubickiej 17 m.13
tel. domowy 55-31-87

Każdego roku w miesiącach czerwcu i lipcu jestem jakby trochę inny, bardziej nerwowy, pobudzony i chyba bardziej zmęczony. Co jest tego przyczyną? Może to tylko przypadek, może wspomnienia. A wspomnień jest sporo. Bardzo często wracam myślami do czerwca 1941 roku. Od lutego byliśmy sami. Bez ojca. 28 lutego został aresztowany przez NKWD. Przed wojną mieszkaliśmy w Krewie. Tu w pobliżu Nowych Trok, w mamy rodzinnych stronach rodzice kupili ziemię. Całe moje dzieciństwo wspominam z tych okolic. Tu rodzice spędzali urlopy, tu szła budowa, tu w przepięknym plenerze, wśród lasów, pól, łąk dorastałem. Teraz zostawiliśmy Krewę i zamieszkaliśmy na swoim. Byliśmy bardzo przywiązani do "gospodarki", to też gdy jesienią 1939 roku tu przyjechaliśmy, byłem szczęśliwy. Tym bardziej, że uciekliśmy przed bolszewikami /Wilno i okolice Trok zajęli Litwini/. Do jesieni 1940 roku było spokojnie ale gdy Litwa została republiką radziecką - wtedy zaczęło się. NKWD, przesłuchania, aresztowania i wywózki na Sybir. W olbrzymiej większości dotyczyło to Litwinów ale Polaków też.

W czerwcu 1941 roku byliśmy już zagospodarowani. Mieliśmy dwie krowy, stadko owiec, parę świń, kury itp. O chodzeniu do szkoły nie było mowy. Przy gospodarstwie było sporo roboty. Na mnie spadł obowiązek pastucha. Mama niepokoiła się bardzo. Chodziła do Trok na NKWD, potem na Łukiszki do Wilna. Żywiła się nadzieją, że uda się jej uwolnić ojca.

Wiosną stramy się bardzo żeby obsiać całe gospodarstwo bo grożą odebraniem ziemi. Chodzą słuchy, że coraz więcej Polaków wywożą. Wiemy też to może dotyczyć także nas. Niepokoiłyśmy się ale też rozważamy możliwość ucieczki. Podwórko graniczy z lasem, a tam dalej bagna. Uciekać jest dokąd. Tylko kiedy? O świcie 14 czerwca zbudziło nas mocne stukanie do drzwi. Zrywamy się. Przerazenie. Myśleliśmy, że to już. Ale okazało się, że to znajomi rodziców. "Dzisiaj przyjadą po was" i "nie wolno nikomu mówić, że ja tu byłem". Powiedział i poszedł. Przerazenie okropne. Zerwał się niesamowity płacz. Nie wiadomo co począć. Nie było jednak czasu na lamenty, trzeba było uspokoić się i decydować. Postanawiamy. Będziemy uciekać. Ostre przygotowanie. Mama poprowadziła siostry Halinkę i Irenę do sąsiadów, żeby je tam przechować. Bez dziewcząt będzie łatwiej. Jest bardzo wcześnie. Mimo to wypędzamy nasze stado w pole. Bracia Mietek i Zdzich zostają w domu. Mają mieć się na baczności. Rano o wschodzie słońca jest jałko dziwne na polu. Nigdy nie wypędzałem tak wcześnie. Przerazliwa cisza. Jestem jakby oszołomiony. Modlę się do Matki Boskiej Ostro-

bramskiej. Płaczę. Szok jest olbrzymi. Nie wiem, czy to można opisać. Sładko pasie się spokojnie. Na przeciwległym brzegu pola jest skarpa. Jest porośnięta drzewami. Ulubione miejsce zabaw. Na jednej gałęzi młodego dębu wryłem mój monogram i datę 14-VI-41. Nie mogłem sobie tego wyobrazić, że to ostatni raz, że już nigdy. Straszna. Ale wyraźnie to szukam. Co dzieje się w sercu w takich chwilach, tego też nie podejmuję się opisać. Nie płaczę, tylko ryczę. Do sąsiadów daleko, nikt nie słyszy. Nawet nie spostrzegłem kiedy moje krowy napasły się. Wcześniej więc je spędziłem do domu. W domu rozpacz. Mama nie bardzo wie, co robić. Zarobiła roczyn na chleb, żeby w razie czego mieć na drogę. Namoczyła bieliznę do prania. Robiła to chyba odruchowo, bo jeżeli dziś, to przecież nie miała szans wyprać, wysuszyć albo upiec chleb. Po jakiejś chwili trzeba znowu wypędzać na pastwisko. Na drogę dostałem dość dużą pajdę chleba z masłem. Kręcę się bliżej domu koło drogi prowadzącej do Trok. Droga to polna biegnąca małym wąwozem, miejscami dochodzącym do jednego metra głębokości. Nikt tą drogą nie jeździ to też łatwo obserwować. Krowy i owce pasą się. Jest chłodno ale skonecznie. Nałożyłem mundur ~~z~~ policyjny ojca i buty z cholewami. Trochę trudno chodzić w tym ale jakoś daje radę. Zjadłem chleb. Słyszę, coś warczy. Na razie myślę, że na gościńcu za naszym polem, w lesie jadą samochody, bo często widzieliśmy gdy w ywozili Litwinów. Jednak warczenie nasila się. Nikt by nie przypuszczał, że na taką polną drogę wjedzie się samochodem. Oczekiwałem raczej furmanki. Zdrętwiałem więc, gdy zza górki wyłonił się samochód. Jechał wolniutko, przechylony. Nie mieścił się w wąwozie. Stałem jak wryty patrząc na to objawienie. Duży ciężarowy. Zbliża się do mnie ~~z~~ powolutku a ja stoję przez moment i nie wiem co robić. Wreszcie dociera do mnie świadomość, że to przecież bolsze widzi. Widzę ich, jest ich co najmniej dziesięciu na odkrytej pascie samochodu. Są blisko, najwyżej 100-150 metrów. Widzę szlony /czapki zakończone szpikulcem, szyte z materiału/, widzę ozierwone gwiazdy, karabiny z ostrymi bagnietami. Mam szansę uciekać. Samochód zwalnia bo bardzo ciasno w wąwozie. Jednym, drugim machnięciem nogami pozbywam się butów i daję susa w kierunku domu. Biegnę prostopadłe do drogi, na której są oni. Widzę zamieszanie na samochodzie, widzę jak wyskakuje, krzyczą "stoj". Biegną na przedzie mi drogi. Sadzę przed siebie ile sił w nogach, już ich nie widzę, jestem lepszy. Słyszę okrzyki. Nie oglądam się. Wpadam na podwórko. Są bardzo blisko. Zaplątali się w furcie i to pozwoliło mi uciec, bo gdy wpadłem na podwórko to widziałem mamę, Mietka i Zdzicha uciekających do lasu. Słyszeli mój wrzask. Biegnę prosto za nimi. Biegniemy po krzakach jak spłoszone sarny. Bolszewicy zatrzymali się. Nie weszli do lasu. Jesteśmy niesamowicie wystraszeni. Serca walą jak młoty. Nie nie mówimy. Biegniemy za ^{mama} matką. Zatrzymujemy się i nasłuchujemy. Cicho. Mama wciąga zza pazuchy jakieś zdjęcie - papiery - odrywamy guziki od

munduru policyjnego i zakopujemy pod krzakiem. Idziemy dalej, lasem na południowy zachód. Robimy duże półkole i na drugim końcu pola wyznaczamy na górkę po uprzednim zamaskowaniu się. Widać jak na dłoni. Samochód stoi na podwórku. Chodzą, szukają. Spuścili psa i poganiają do lasu. Chyba chcą żeby ich prowadził za nami. Maliczyliśmy ich jedenastu. Słońce zaszło. Idziemy do Michniszek do ciotki Mickiewiczowej. Musimy znaleźć jakieś schronienie na noc. Noce są dość chłodne. Kierunek na południe. Mijamy las, gościniec. Droga nie idziemy bo niebezpiecznie. Na razie jesteśmy syci i silni więc humor poprawiają się. Mama myśli swoje ale w naszych małych świadomościach jakoś nie mieści się ten ogrom tragedii. Pachnie przygodą. Szybko przeszliśmy parę kilometrów i jesteśmy u ciotki. Ciotka starszuszka w płacz, mama też, tylko Paweł syn ciotki zachowuje zimną krew. Jest dorosłym młodym mężczyzną. Zawsze podziwiałem go, jest moim ideałem. Zarządza, że nie kobiety tu przebywać, mogą sprawdzać. Zaprowadził nas do swego przyjaciela w tej samej wsi. Jest to kolonia usytuowana na górze. Widać stąd całą okolicę. Przychodzimy. Mamy schronienie. Dzieci szybko spać bo po takich przygodach to śpi się jak w miodzie. Natomiast mama z Pawłem i Mietkiem idą do naszego domu. Skradają się. Stwierdziwszy, że w domu nie ma nikogo, wchodzi. Zabierają główek od maszyny do szycia, jakieś drobne przedmioty, które były potrzebne, biorą krowę. Idą do Blakiewiczów zabierają Irenkę i Halinkę i przed świtem wracają spowrotem. Musieli śpieszyć się bo czerwcowe noce są krótkie. Ktoś jechał konno, uciekali do lasu, pogubili się ale dotarli szczęśliwie. Człowiek boi się wszystkiego, tym bardziej, że wiedzieliśmy, że sąsiedzi Parangowscy byli bardzo zainteresowani naszym wywiezieniem. Byli to Białorusini, nie im nie groziło a kawałek ziemi nęcił. Widzieliśmy Parandowskiego razem z bolszewikami na podwórku, więc byliśmy pewni, że mają przewodnika, który wszystko wie o nas. Budzimy się rano. Jest niedziela, pogoda m obłędna, słońce na czystym, błękitnym niebie. Gospodyni karmi nas. Dorosli politykują i szukają wyjścia. W obawie przed wywózką na Sybir Niemcy wydawali się być wybawicielami. Zastanawiające, że Hitler napadł na bolszewików 22 czerwca zdradziecko i niespodziewanie a na 15 dni przed wywózką zwykli ludzie w przypadkowej wsi wiedzieli, że za parę dni przyjdą Niemcy. Parę dni ale jak przetrwać i czy to w ogóle prawda. Skoro udało się uciec i skoro jesteśmy w komplecie, dacyzja jest jedna. Trwać do końca. Gospodarz wyczyścił dół na kartofle i powiedział, że w tym dole możemy przetrwać najgorzej. Umiał to zamaskować z zewnątrz. Po śniadaniu ostrożnie przeszliśmy do dołu. Irena z Halinką zostały w domu. Siedzimy. W dole ciemno, ciemno i zimno jak lichy. Jesteśmy przecież boso. Ropuchy łazą po dziurach między kamieniami. Gospodarz zagląda do nas. Pociesza. Musimy wytrwać. Przynoszą coś na obiad. Siedzimy dalej. Modlimy się. Z wyprostowaniem się są trudności. Wydaje mi się, że nie przetrwamy

nocy a co tu mówić o paru dniach. Tym bardziej, że wiadomość o przy
ściu Niemców może być bujdą. Bolszewicy nic sobie nie robią z tych
plotek, wywożą dalej, masowo Polaków i Litwinów. Co będzie? Pod wie
czór dostajemy komunikat, że są u ciotki Mickiewiczowej. Jest z ni
mi Parangowski, on przecież prowadzi ich. Siedzimy i czekamy co bę
dzie dalej. Do dziś nie wiemy co było powodem, że z domu cioci od
razu skierowali się w naszą stronę. Jadą pod górkę prosto do nas.
Przecież wieś duża, przypadkowo też można trafić ale wydaje mi się,
że ciotka mogła coś powiedzieć nieopatrzenie. Olbrzymie słońce wisi
nad horyzontem, szykuje się do zachodu. W czerwcu od rana do zacho
du słońca dużo godzin to też byliśmy okropnie poskręcani, gdy gospo
darz powyrzucał nas z dołu krzyząc "uciekajcie". Leżymy przez chw
lę na ziemi oślepieni przez słońce. Kiedy już było widać jadących
chyba odruchowo zrywamy się i biegniemy pod górkę w stronę żyta.
Tam najbliższej do lasu. Wśród goniących jeden jest konno, pędzi za
nami. Jak te małe kaczątka przeskakujemy płot za mamą i za chwilę
jesteśmy w krzakach. Bolszewik zatrzymał się przed płotem. Jesteśmy
w miarę bezpieczni. Za chwilę przerażenie. Spostrzegliśmy, że nie
ma Halinki. Została. Niedobrze. Co robić? Słońce zaszło, pochłonia
ło, komary gryzą. Idziemy na pastwiska za górę. Dziewczynka pasie kro
wy. Właściwie już pędzi je do domu. Mama o czymś z nią rozmawia.
Siedzimy i czekamy. Płaczą, modlimy się. Jesteśmy tak zmordowani,
że żyć nie chce się. Jest już ciemno. Przychodzi dziewczynka i mówi
żebyśmy przyszli. Iść? Nie iść? Nie wiadomo, komu wierzyć. Zmęczenie
jednak jest silniejsze. Idziemy. Ludzie ci zapraszają nas do domu.
Płaczą. Mama też. Coś dają do jedzenia, piją mleko i natychmiast
usypiamy w poprzek żółka. My śpiemy a mama i gospodarze myślą, co
robić, żeby wyzwalić Halinkę. Gospodyni zdecydowała się iść. Nie dał
leko, może kilometr drogi. Poszła. Obudziłem się. Usłyszałem tylko
"uciekajcie" i już byłem przed domem. Zdzicha i Mietka gospodarz wy
niósł w pośpiechu z domu i powyrzucał za płot na skarpę. Mnie też ka
zał tam wlaźć. Jest mama, Irka, jesteśmy wszyscy. Słyszymy głos gos
podyni, która głośno perswaduje po rosyjsku, że u niej nikogo nie
ma. Przechodzą bardzo blisko nas. Siedzimy cicho wypłoszeni niesamo
wicie. Pokazało się, że tam w domu czekali na nas przy dziecku. Kto
pokazał się tego aresztowali. Tak też zrobili z gospodynią. Ją trzy
mali a jakiś młody człowiek przybiegł pod dom, zapukał i powiedział
że uciekinierzy niech uciekają bo zaraz tu będą bolszewicy. W ten
sposób zerwani ze snu, śmiertelnie zmęczeni i przestraszeni jestes
my wśród nocy na skarpcie za płotem. Co robić? Noc chłodna, komary
tną bez litości. Wiemy już, że ciężko będzie wydostać Halinkę. Bar
dzo ją kochamy, mowy nie ma żeby pozwolić na rozłękę. Najłatwiej
poddać się. Na to mamy jeszcze czas. Decydujemy, że idziemy do wujka
Jana do Podwaranc. Bywaliśmy tam na wakacjach. Idąc drogą od nas do
Podwaranc jest siedem km ale my jesteśmy dalej i do tego nie pójdzie-

ny drogą. Idziemy. Ta jedna czerwona noc wyryła tak wielki ślad w mojej pamięci i psychice, że bardzo często wracam myślami do tego koszmaru. Chłódno, pola, żaki, rosa, jesteście zmoczeni do pasa. Zażych skabnie, mdleje. Cuciemy go. Idziemy dalej. Znowu mdleje. Nie- siemy. Jesteście zmordowani do kresu sił. Komary tną. Tylko nocne ptaki, jakby nigdy nie hałasują a żaby rechocą. Niesamowita noc. Koncert pożegnalny daje przyroda. W tę noc żegnaliśmy się z ziemią rodzinną na zawsze. Nie wiedzieliśmy, że są to ostatnie chwile. By- zbyt mocno przestraszeni i umęczeni aby myśleć o tym. Byliśmy jakby w transie albo w odrętwieniu. Podświadomie parliśmy do przodu. Nie widząc żadnego wyjścia, nie poddajemy się. Nie dopuszczamy nawet takich myśli. Zaczęło świtać. Poniedziałek 16 czerwca. Wychodzimy na drogę. Jakieś domy, jezioro. Zabłądziliśmy. Nie możemy zoriento- wać się gdzie jesteśmy. Wreszcie ja rozpoznaję, że przecież to Podwaranace. Mama tam urodziła się i wychowała, a tak była szkolowana, że nie poznała rodzinnej wsi. Na drugim końcu mieszka wujek Jan. Skradamy się żeby nikt nas nie widział. Budzimy. Płacz niesamowity. Wczoraj byli. Wujek podpisał, że nie udzieli schronienia pod groźbą wywózki na Sybir. Jest rolnikiem, ma sześcioro dzieci. Na razie nie ruszają go. Okolicę zna bezbłędnie. Natychmiast zapada decyzja. Do lasu. W lesie na litewskiej stronie są schrony z pierwszej wojny Wybieramy jeden na legowisko. Zarośnięty ślicznie krzakami, nad du- żym jeziorem, w środku miejsce na ognisko. Kiedyś chodziłem tam z wujkiem na raki. Tutaj możemy siedzieć do zimy. Siedzimy. Jest bardzo dobrze, żowimy raki, mamy chleb i mleko. Do szczęścia nam brakuje Halinki. Poszła po nią ciocia Gienia. My czekamy a ciocia nie wraca, a poszła we wtorek. Dowiadujemy się, że jest aresztowana i że postawiono ultimatum: albo poddamy się albo ciocia Gienia z Ha- linką pojedą na Sybir. Wujek płacze, mama płacze. my też. Prosimy mamę żeby poddać się. Mama podejmuje decyzję. Ja i Mietek musimy zostać mama z drobiazgiem chce poddać się, niech wywożą. Na sku- tek naszego płaczu zmienia decyzję. Poddajemy się wszyscy. Późnym popołudniem we wtorek 17 czerwca wujek zaprzęga konia. Wsia- damy i jedziemy. Wiezie nas i płacze. Bardzo dobry to człowiek, bar- dzo go kochamy, tym boleśniesz jest podjęcie takiej decyzji. W Podwaranacach pożegnaliśmy się z krewnymi. Po drodze zaszczyliśmy na cmentarz i pożegnaliśmy groby. Babci i dziadka /rodziców mamy/. Dalej w drogę. Minęliśmy cmentarz i słyszemy jakiś krzyk. Patrzymy biegnie Maniek, nasz brat cioteczny, o rok straszny odemnie. Piszę o nim celowo, gdyż pożegnanie z nim było wyjątkowo wstrząsające. Chłopiec był tak spłakany, że doprowadził nas do wstrząsającego płaczu. Pożegnaliśmy się. Dopiero po powrocie dowiedziałem się, że właśnie on nie przetrwał. Tam w Podwaranacach zmarł z głodu. Dziu- nie układają się te losy. Nikt nie może przewidzieć tego. My jecha- liśmy na zagładę a oni nas żegnali, opłakiwali. My przeżyliśmy ge- henne. żyjemy. oni zostali. zdawałoby się nie tu nie może stać się.

Tymczasem zmarli z głodu. Cicia Hela /siostra mamy/ i Maniek w 1949. Bardzo często błąka się w moich myślach moment pożegnania z Mańkiem. Tak już chyba musi być. Zapada noc. Dość długo jedziemy te siedem km, nie spieszymy się. Wreszcie wjeżdżamy na podwórko. Wahałiśmy się, dokąd jechać, na gospodarstwo czy do Halinki. Postanowiliśmy wstąpić do domu i zabrać co się da a potem jechać do Halinki. Obłęd. Powitanie pieska. Blisko cztery doby błąkał się koło domu. Na nasz widok oszalał. Płaczą strasznie. W domu pustka. Wszystko potwierane, poprzewracane. Chlew otwarty, świny płaskie jak deski. Chodzimy, oglądamy. Ule zdemolowane. Pobojuwisko. Mama z wujkiem poszła do Parangowskich, my zostaliśmy w domu. Nie ma świątka bo lapa stłuczona. Mniejsze dzieci siedzą w domu a my z Mietkiem staramy się coś zarządzić. W ogrodzie miałem własną grządkę, na której prowadziłem swoją uprawę. Pobiegłem zobaczyć. Dość ciemno, musiałem oglądać na kolanach. Roślinki wilgotne od rosy, jędrne, pięknie pod rosą. Zryczałem się mocno na tej grządce. Zresztą nie bardzo już starcza siły do płaczu. Czuję okropny śal. Okropny ucisk w piersiach. Chyba pęknie serce. Wracam do domu. Po chwili słyszę krzyk "ruki w wierzch". Wpadają bolszewicy. Stawiają nas "pod stienką". My w krzy. Przerwanie. Lampka, którą zmaistrowaliśmy zgasła. Nie wiemy, co z mamą. Trwa ta chwila bo oto słyszemy głosy na dworze. Chwała Bogu jesteśmy razem. Bolszewicy rewidują nas skrupulatnie. Część ich jest tutaj, reszta w Michniskach przy waresztowanej cioci i Halince. Pertraktują z mamą i wujkiem, wreszcie decydują. Jedziemy furmanką do Michnisk. Tam zwalnają ciocię i zabieramy Halinkę. Wiozą do Nowych Trok. Jest środa po południu. W Trokach chyba nocujemy, nie pamiętam dokładnie.

W czwartek 19 czerwca rano już jesteśmy w pociągu na stacji w Landwarowie. Żegnaj ziemie rodzinna, żegnajcie bliscy, żegnajcie znajomi. Żegnaj wreszcie ojczyzna. Czytałem kiedyś o zesłanych na Sybir, dziś i ja jestem zesłańcem. Mam dwanaście lat i już tyle cierpienia.

Jedziemy już trzecią dobę. Zamknięci jesteśmy na okrągło. W wagonie tłok, ludzie spanikowani do ostatka. Sami Litwini. My jesteśmy jedyną polską rodziną. Wagon bydłocy, na środku zrobiona dziura, do dziury wstawione coś w kształcie lejka. Jest to ustęp, który oblegany bez chwili przerwy. Dostaliśmy miejsce na dole. Po przeciwnej stronie drzwi. Po czterodniowej gonitwie byliśmy bardzo zmordowani to też miarowy stukot wagonu szybko uspił słabszych, w tym także mnie. Mało pamiętam z pierwszych dni podróży. Przez trzy doby nikt nie zajrzał do wagonu. Jechaliśmy bez wody, bez jedzenia, bez jakiegokolwiek opieki. Ludzie płakali, modlili się, załatwiali potrzeby fizjologiczne i umierali. Wszystko to działo się w ciemności i strasznej duchocie. Wspólnie z Mietkiem wycinamy w ścianie wagonu otwór podobny do wlotu dla pszczoł, trochę większy. Duża frajda,

leżymy i patrzymy. Każdy chce zerknąć. Kolejka. Stałe wyglądanie spowodowało, że deski wybrudziły się, wyświechtaly i wogóle nie widać otworu. Jedyne okno na świat. Litwini też przychodzą popatrzeć. Powodzenie prawie jak przy ustępie bo tam kolejka dzień i noc. Chyba czwartej doby, w nocy pociąg zatrzymał się. Otworzyli dali wodę. Zrobili rewizję. Długo spisywali. Zabrali mężczyzn, zabrali chorych i rannych. Pozwolili wreszcie otworzyć okna i niezamknięcie drzwi. Jest lepiej bo luźniej, jest woda i powietrze, jest gorzej bo rozłączone rodziny okropnie lamentują. My rozłąkę z ojcem przeżyliśmy przed czterema miesiącami, ongi dziesiąt. Jedziemy dalej. Niewiele widać w naszym otworze. Wjeżdżamy do jakiegoś miasta. Ktoś odczytuje: Tuła. Pociąg zatrzymuje się przy bardzo długim pomoście. Jest południe piątego dnia. Wypuścili wszystkich z wagonów na pomost. Pociąg jest nieskończenie długi, około sto wagonów. Dwie lokomotywy, jedna z przodu, druga z tyłu. Jesteśmy w pięćdziesiątym drugim, "Piat'diesiat wtorej wagon". Na naszym wagonie stoi budka. Co dwa-trzy wagony jest budka. W budkach żołdacy. Na peronie rowie ludzi. Sami Litwini. Jesteśmy chyba jedyną rodziną polską w całym transporcie. Dali wodę, zupę, jakiś chleb. Pierwszy posiłek na gościnnej ziemi radzieckiej. Ludzie są wszędzie: w wagonach, pod wagonami, na pomoście i pod pomostem. Zaskatwiają swoje potrzeby gdzie popadnie. Wygląda to okropnie, nikt nikogo nie wstydzi się. Wystarczyło parę dni a jak bardzo skożowani są ci ludzie. Stoimy parę godzin. Wieczorem ruszamy w dalszą drogę. Mogą już być otwarte okna i niedomknięte drzwi. Któregoś dnia widzimy samoloty i bombardowanie, jednak tym razem nikt nie mówi o wojnie. Myślimy, że to jakieś ćwiczenia. Zresztą mężczyźni już nie ma a kobiety, starcy i dzieci nie potrafią myśleć logicznie. Jest bardzo źle. Dopełnieniem jest woda, którą dali do picia. Spowodowała ona masowe zatrucia. Teraz prawie że niemożliwe jest dostanie się do ustępu. Jest zasłonięty kocami. Wygląda to troszkę przyzwyczajonej ale za to dłużej siedzą. Każde zatrzymanie się pociągu powoduje, że wyskakuje mnóstwo ludzi aby zahartwić się. Robią to wszędzie. Ziemia radziecka w tych czasach była okropnie oszrana, nie tylko zresztą przez wywożonych. Przekonaliśmy się o tym na miejscu, na Sybirze. O tym zresztą opowiem w dalszej kolejności. Zatrucie nie ominęło także nas. Najbardziej Halinkę. Zatrzała się śmiertelnie. Nie możemy doprosić się lekarza. Dziecko konające, my przerażeni, pomocy żadnej. Na małym postoju przysmy żołdaka w budce o pomoc. Żołdat nadaje: "w piet'dâesiat wtaram wagonie kriebionok pomirajet". Telefon na zasadzie "podaj dalej". Słyszymy jak podają od budki do budki, aż do ucichnięcia. Po chwili słyszymy powracającą odpowiedź: "chuj s nim, puakaj pomirajet, drugoj hudiet". Cytuję dosłownie. Po jakimś czasie przychodzi lekarz z sanitariuszem. Nie ogląda, nie bada, tylko chce

zabrać dziecko do szpitala. Ty w płacz. Mama nie daje dziecka. Dopóki żyje musi zostać przy nas. Umarze, wtedy oddamy. Lekarz zdenerwował się ale nie zabrakł dziecka. Chwała Bogu. Litwini są jak my rzymskokatolikami to też modlimy się wspólnie. Rozumiemy się doskonale mimo nieznamomości języka. Niektórzy mówią po polsku, problem więc nie ma. Modlimy się ^{do} Matki Boskiej Ostrobrabskiej i wierzymy, że nas nie opuści. Już tam w wagonie doznajemy cuda. Tak wtedy rozumieliśmy fakt, że dziecko, które oddaliśmy w opiekę Przenajświętszej konające, bez leków, bez opieki przetrzymało kryzys i dość szybko wraca do zdrowia. Ekumaczymy to na różne sposoby. Jesteśmy pewni, że Przenajświętsza ^Zcuwa nad nami i nigdy nie opuści nas. Jakiż bardzo ważna jest wiara w takich sytuacjach. Mijamy Ural. Zaczyna się niekończąca się równina. Widać małe chaty wrosnięte w ziemię. Dziwią nas stare wiadra na kominach zakładane w celu przedłużenia komina. Kominy prawie nigdzie nie dymią. Ludzi prawie nie widać. Traciny rachubę. Niektórzy Litwini notują, robią zapiski, pamiętniki. My nie. Szkoda. Zresztą gdybyśmy nawet cośkolwiek pisali to nie mielibyśmy szans przechowania. Nie mamy ani papieru ani ołówka. Z pisaniem też kłopoty bo mieliśmy skończoną w 1939 roku z Miekkiem cztery klasy szkoły powszechnej w Krewie a mama nie miała wtedy głowy do tego. W latach czterdziestym i czterdziestym pierwszym nie chodziliśmy do szkoły. Dwa lata zrobiły swoje. Któregoś dnia Halinka, już zdrowa, bawiła się koło naszego okienka. Wsadziła rączkę i nie mogliśmy jej wyciągnąć. Słuchamy, że za wagonem jeden bolszewik trzyma rączkę i coś mówi. Za chwilę są w wagonie. Nie przyznajemy się. Trzęsiemy się ze strachu. Syceryki pochowali my. Litwinki obiecują, że nie zdradzą. Wieczorem przychodzi oficer i paru innych, oglądają. Wszyscy mówią, że otwór był. Myślą, że ten oficer to barbos, tak go nazywają. Jest trochę śmiechanie. Oficer mówi że on nie jest barbosem, że barbos to pies milicyjny. Dają spokój z dochodzeniem. Psa nie przyprowadzili. Otwór zabili deskami i dużymi gwoździami. Chwała Bogu. Jedziemy. Czasem dają trochę jedzenia i trochę wody. Równina, równina, równina. Miast nie pamiętam, zresztą miasta mijamy nocami albo ich wcale nie ma. Wjeżdżamy nareszcie do dużego miasta. Nowosybirsk. To jest już bardzo daleko. Znowu kontrola, rewizja, wreszcie ładnia. Pędzą partiami do olbrzymich kaźni. Tam nie tyle kąpią co dezynfekują. Robią to po rusku, parę. Ludzie nie przyzwyczajeni do takich warunków mdleją, kilka osób zmarło. Znowu panika. Przetrwaliśmy dezynfekcję. Jesteśmy w wagonie. Jedziemy. Zdziwienie okropne. Jedziemy z powrotem. Różnie ludzie komentują to. Mówią, że wracamy do domu, że Anglicy upominają się o nas itp. Wiemy już, że jest wojna ale też nie wiadomo, gdzie prawda. Są tacy, którzy poznają teren. Nie ulega wątpliwości. Wracamy. Miastety. Wszystkie te spekulacje okazują się złudne. Jechaliśmy do Nowosybirsk na wschód a z Nowosybirsk na południe, na-

wet trochę na południowy-zachód. Stąd złudzenie. Jedziemy dalej. Już lipiec. Wjeżdżamy do lasu. Niekończący się las. To już prawdziwa tajga. Lijamy miasto leżące nad potężną rzeką. To Barnauk. Po paru dniach dojeżdżamy do innego miasta /też nad rzeką/ Bijska. Ostatnia stacja kolejowa. Miasta nie widzimy. Stoimy w lesie na jakiejś bocznicy. Do miasta osiem km. Wiemy już, że to koniec naszej podróży. Wyraźnie odczuwamy zmianę klimatu. Jest skłóconie, ciepło, powietrze bardzo czyste. Samopoczucie dobre. Jesteśmy skłócony, nie bardzo wiemy gdzie jesteśmy. Wiemy tylko, że okropnie daleko. Próbuje ustalić kierunek świata. Szukamy zachodu bo przecież tam jest nasza ojczyzna. Jest ósmy lipca, środa. Ładują na samochody, rozdziałają, rozwożą. Nas ładują akurat na kilka furmanek i wiozą. Umieemy trochę rozmawiać po białorusku więc już coś-nieco wiemy. Wiemy, że jedziemy do sowchozu, że będziemy mieszkać nad rzeką i że rzeka nazywa się Ob. Po paru km przyjeżdżamy na d rzekę. Jest dość szeroka, płynie w głębokim wąwozie. Patrząc w lewą stronę, pod prąd, widzimy miasteczko, jakieś elektrownie, fabryki i dużo, dużo drewna, które ludzie przygotowują do spławiania. Zjeżdżamy w dół do wąwozu wykopanym podjazdem i tam ładują nas na barki. Jest nas około 150 osób. Litwini wystraszeni, my też. Cieszymy się jednak, że to już koniec podróży, że będziemy mieszkać nad rzeką. Kupiliśmy u jakichś chłopów wędkę za dwa ruble. Leszczynowy kij, żyłka płaciana z końskiego włosia, jakiś spławik i haczyk. Myśleliśmy, że to dobry nabytek i że będzie bardzo przydatny. Nie myliliśmy się. Znowu pachnie przygodą. Wsiadamy do barki, którą przyczepiają na długim sznurze do motorówki i płyniemy. Płyniemy na pewno w dół rzeki. Jestem zadowolony. Duża woda, gęsta roślinność po obu stronach i ten wąwóz robią niezwykle wrażenie. Widziakem już jeziora, lasy i rzeki. Zdawało mi się, że są ogromne ale to co widać tu jest ponad wszystko. Płyniemy około dwódziestu km. Wreszcie z lewej strony widzimy drugą rzekę, równie szeroką. Schodzą się razem. Płyniemy rzeką Biją a ta druga to Katun. Miejsce zejścia się obu rzek jest początkiem potężnej rzeki, już tu szerokiej na trzy km. To Ob. Skręcamy w lewo i płyniemy na drugi brzeg Katuni. Zakręt bardzo ludzi wystraszył. Prąd rzek jest dość duży, motorówka zakręciła a barkę na długim holu zawinęło tak mocno, że woda lata się przez burty do środka. Widać małe chatki na wysokim brzegu, widać wiatrak wodotłaczki, widać wreszcie ludzi stojących na brzegu. Jest ich sporo. Podpływamy do małej przystani. Słońce chyli się ku zachodowi. Furmanki czekają, ładują ludzi. Ja z Mietkiem chcemy iść pieszo. Wiemy, że to niedaleko. Pozwalają. Idziemy obok furmanek. Wędkę trochę niosę ja, trochę Mietek. Ludzie patrzą na nas jak na jakie dzikie. My z kolei patrzymy na nich także z dużym zainteresowaniem. Są inni. Prawie wszyscy boso, mocno opaleni i bar-

żo biedni. Patrzą jednak na nas nieufnie. Dopiero potem dowiedzieliśmy się iż mówiono im, że przyjadą tacy, którzy pili ludzką krew i że zabroniono im kontaktowania się z nami. Oni rozumieli to doskonale, stąd ta nieufność. Paradujemy prze całą wieś. Chałtynki bardzo dziwne. Parę domków zbudowanych z drewna, reszta, to bądź baraki, bądź ziemianki. W centrum wsi jest więcej domków. Jest sklep t.j. "kawoczka", biuro sowchozu "kantora", przedszkole, szkoła i izba chorych. Najpiękniej z tego wszystkiego prezentuje się dom dyrektora. Ludzie są jakby jednakowi. Mężczyzn bardzo mało. Nas oczywiście interesują rówieśnicy, których jest dość dużo. My jesteśmy biedni bo przez tę ucieczkę nie mamy do ubrania ale oni są biedni super. Co to będzie? Zauważalny jest olbrzymi kontrast. Rozpadające się ziemianki i park, alejki, Stalin na cokole, wreszcie klub. Olbrzymia sala drewniana z sceną i mównicą. Wykładano nar właśnie w tym klubie. Szybko zrobiło się ciemno. Babcie rosyjskie zaczęły, bardzo ostrożnie, rozmawiać. Z Litwinami nie dogadają się ale z Polaczką jest łatwiej. Do rana wiedzieliśmy dość dużo o tym terenie. Nawet dały coś do jedzenia i "kapiatki". To woda gotowana, gorąca, którą tam piją w różnych okolicznościach jak u nas herbatę. Gdy mają coś suszonego, jak mięso, ryba czy suszary to jedzą popijając kapiatkiem. Byliśmy bardzo wykończonymi i gdy znaleźliśmy się poza wagonem, natychmiast usnęliśmy?

Rano oszokował nas klimat, krajobraz. Wszystko, co widzimy jest inne. Szczególnie krajobraz. Jesteśmy nad brzegiem rzeki. Jeszcze Katuni. Parę kroków dalej zaczyna się Ob. Jesteśmy w sowchozie, który nazywa się "Wierchobskoj". Rzeka płynie w głębokim wąwozie w kierunku północno-zachodnim. Jest bardzo szeroka, widać dokładnie miejsce, gdzie schodzi się z Biją. Potem jest jeszcze wyspa, taka o powierzchni około 20 ha. Dalej jedna, potężna Ob. Patrząc na południe widać kawałek jakby płaskowyżu. To ziemia naszego sowchozu, potem teren trochę fałduje się, trochę zarasta kępami brzoźowego lasu. Na horyzoncie białe pasmo gór Ałtajskich z bardzo wyraźnie wystającym szczytem Biełuchą. Białe, gdyż leżą tam śniegi przez okrągły rok. Po drugiej stronie rzeki także wąwóz a na wąwozie ściana lasu, to tajga. Wszystko to wygląda imponująco. Patrząc na to z zapartym tchem. Momentami zapominam o naszej tragedii. Momentami zaś ogarnia przerażenie bo słońce zachodzi za rzeką. Tam jest Polska a rzeka taka szeroka. Tymczasem przyjeżdża lekka bryczka z dm dyrektorem sowchozu. Rosły, młody mężczyzna, rumiany, elegancko ubrany, zaskoczył nas niesamowicie. Bo oto pyta, gdzie jest "Polaczka", znaczy Polka. Mama zgłasza się a on zaczyna rozmowę czystą, piękną polszczyzną. Pyta o Polskę, pociesza, głaszcze nas po gąórkach i daje małym oukiecki. Radość niesamowita. Wierzymy, że to chyba jakiś cud. Byliśmy bardzo głodni polskiego słowa. Chyba znów Ostrobramska zasyła nam tego człowieka. Jesteśmy pewni,

że tak. Modliny się. Dowiaduję się, że jest Polakiem, inżynierem-rolnikiem, który uciekł z Polski i uciekł do Rosji chyba w trzydziestym pierwszym roku. Tu otrzymał sowchoz, został dyrektorem, wiceci, panem życia i śmierci paru tysięcy biedaków. Sowchoz postawił na dość wysoki poziom, to też stał się bardzo ważnym i znaczącym w całym Altajskim kraju. Tu dostał dom, ten luksusowy, tu ożenił się z Rosjanką, mają piękną córeczkę. Podobno jest bardzo bogaty. Ale my tego nie odczujemy. Przecież to Polak. Wierzymy, że nas wspomaga. Tak też stało się. Przy podziale lokum Litwini dostali ziemianki a Polka i Żydówka domek drewniany w środku wsi. Jest to mały, drewniany domek, który do tej pory był mieszkaniem falczerki. Tylko dwie izby. Żydówka z synkiem i babcią pochodzą z okolic Szwajtk. Babcia nawet mówi po polsku ale są litewskimi Żydami. Mają bardzo dużo bogactw. Wszystko opakowane w workach może do trzydziści worków. Wartość worków jest przypadkowa bo sami nie wiedzą, co mają. Kiedyś podczas przeszukania rewidujący znalazł w jednym worku olbrzymie różaniec. Wyciągnął, pooglądał i zawiesił babci na szyi. Straszna konsternacja. Zastanawiające, skąd w żydowskich bogactwach różaniec. Dostały więc ten większy i lepszy pokój, my ten gorszy ale to nie jest źle. Modliny się. Dziękujemy Przenajświętszej. Napewno czuwa nad nami. Judaie tu są bardzo dobrzy. Okazują się, że są bardzo gnębieni. Są zesłańcami z lat dwudziestych, z różnych stron Rosji. Sami Rosjanie. Tu przywiezionych, jak nas teraz, tu osiedlili się, założyli rodziny i tu żyją. Starsze kobiety pamiętają dobre czasy, modlą się. To też gdy dowiedzieli się, że my wierzymy w Boga, bardzo przychylnie odnoszą się. Robią to pokryjomu, bo "nie Izia". Młodzi są dzicy, nie widzieli nigdy w życiu kiełbasy. Bardzo chętnie rozmawiają. Pytają o wszystko. Są ciekawi. W głowach im nie mieści się, że gdzieś ludzie jedzą do syta, nie mają wszy itp. Słuchają naszych opowiadań jak baśni z tysiąca i jednej nocy. My chętnie opowiadamy. Stale, przecież, jesteśmy wsielami w domu, w Krewie, w Trokach czy Podvarancach. Czy wrócimy tam? Nikła nadzieja. Jeżeli nawet, to nie prędko. Wiemy o tym. Wyczuwamy instyktownie. Hitler bardzo prędko dotarł pod Moskwę. Mówi się nawet o "Japoncach, że uderzą. Kobiety modlą się i proszą Boga aby jaknajprędzej. Widzą w tym wyzwolenie i ratunek. Przecież męczą się już ponad dwadzieścia lat. Wierzą, że to koniec hegemonii komunistów. Wygląda to, co piszę na nieprawdę. W tym sowchozie i w Bijsku, bo bywałem tam często, ludzie tak myśleli. Tak kochali tę swoją władzę radziecką. Może gdzieś indziej było inaczej, tego nie wiem. Tylko partyjni, a było ich kilku, byli inni. Oni nie głodowali, ich reklamowano od wojska, oni byli panami życia i śmierci biedaków. To też wierzyli w potęgę, której wtedy nie było. Martwili się rozwojem sytuacji. Byli nieważni. Ludzie natomiast byli obojętni do wszystkiego co było kazionne /państwowe/

Patrzają tylko aby cokolwiek ukrasć. Kradną wszyscy, ale między sobą są solidarni. Nikt nikogo nie oszuka, nie okradnie, nie zdradzi. Szczególnie wydanie kogoś uważane jest za ciężkie przestępstwo. Wtedyś chłopiec, taki trochę starszy, ukradł sezyzoyk. My, trochę mądrzejsi, natychmiast rozszyfrowaliśmy go i zmusiliśmy do oddania. Oddał. Mama zawstydziała go, moralizując, że należy być uczciwym. On natomiast bardzo poważnie powiedział, że w Sowietkim Sojuszu, jak będziesz uczciwy to zginiesz. Bardzo nas to zdziwiło ale po krótkim czasie przestało dziwić, byliśmy tacy sami jak oni. Nawet czasami lepsi bo mądrzejsi. Zapamiętałem te słowa i powtarzam je często. Taka ludzka mądrość wynikająca z biedy. Tam nikt nikomu nie nie zakatwia. Albo jest "kranny" /cierpiący/ i m., albo jest biedakiem i nie ma nic. Chleb na karki, "pajok". Pracujący otrzymuje pół kg a "uźdwiwieniec" /niepracujący/, uprawniony do otrzymania przydziału, otrzymuje dwieście gramów. Pracujący otrzymuje dodatkowo, dwa, trzy razy więcej zupy. Uźdwiwieniec nie dostaje nic poza tymi dwustu gramami. Dyrektor ma prawo dać lub wstrzymać posiłki. Tak bez powodu. Dość często korzysta z tego prawa. Jest przedśówek. Zupa jest tak ohydna, że trudno ją wsiąść do ust, jest posna, rzadko okraszona olejem. W większości gotowana z kaszy jaglanej, kartofki i "slizanu". Jest to dziko rosnąca cebula. Pracujący dostaje pół litra takiej zupy. Ludzie głodują. Są bardzo wynędzniali. Muszą jednak zrobić normę żeby dostać ten posiłek. Choć pół litra wody, dwa kartofle i parę ziarenek prosa trudno nazwać posiłkiem. Okrępie. Od razu w trójkę idziemy do pracy. Półtora litra tej zupki musi starczyć dla wszystkich. Nie zjedamy, tylko przynosimy do domu. Pracujemy przy plawieniu buszków. Norma 20 ar. Duży to kawałek. Słońce praży nieniósłemię, notyki ciężkie i bylejakie. Obzęd. ~~Wziąjstakóanxklipax~~

Čzęsto zdarza się, że Polacy nie lubią Roskich. Myślę, że w tym miejscu należy się sprostowanie. Otóż, zapewne co innego władza, a co innego ludzie. Nie znam Usbeków i innych. Znam Rosjan i o nich mogę powiedzieć, że są wspaniali. Dziś chyłę czołó przed tym narodem. Kobie to z całą świadomością i odpowiedzialnością. Pomimo zakazów i błędnych informacji, bardzo prędko nawiązali kontakt z nami, pomagali, doradzali. Pomogli przetrwać. Niezraz zastanawiam się, jakiemu cudow^ozawdzięczam ocalenie i powrót. Stwierdzam, że po pierwsze to Przenajświętsza z Ostrej Bramy a zaraz obok ludzie. Właśnie proszi, biedni ludzie rosyjsey. Biedni byli niesamowicie. Żyli w skrajnej uędzy. Nie zapominali jednak o biedniejszych, pomagali. My w pewnych okresach byliśmy najbiedniejsi w całym sowiecie. Po prośbie żadna z nas nie odczekała bo nie mieliśmy chyba jakąś dumę. I to podobało się Rosjanom. Mimo znajomości u dyrektora, bo z początku był bardzo miły, trzymaliśmy z ludźmi a nie z władzą. Bardzo drogo nas to kosztowało. Pan dyrektor liczył na to,

Chciał koniecznie żeby mama podpisała chwytaelstwo radzieckie. Dużo obiecywał. Jednak mama bronika się fanatycznie. Nie podpisała i nie przystąpiła do żadnej współpracy. Po latach, kiedy nadzieja na powrót do Polski stała się rzeczywistością, okazało się, że nic lepszego nie można było zrobić. Wasysey, którzy podpisali musieli zostać. My byliśmy Polakami i tylko Polacy mieli prawo do powrotu. Z miejsca posypały się represje. Okazał się wyjątkowym kotrem. Przestał odzywać się po polsku. We wszystkich sprawozdaniach podawał naszą rodzinę jako Białorusinów. Zabronił kontaktowania się ze światem. Wyrzucił z domu nie dając nic w zamian. Widzieli to biedni Rosjanie i imponowało to im. U nich także jest takie moralne prawo, że w takich sytuacjach jedni drugich nie opuszczają. Nie opuszczali i nas. Pomagali, za co jestem im wdzięczny. Pan dyrektor potrafił wzywać mamę w nocy, potrafił wstrzymywać chleb, robił, co tylko mu przyszło na myśl, aby nam dokuczyć. Spowodowało to że nasza sytuacja była często bez wyjścia. W pierwszym miesiącu pobytu nie dostaliśmy chleba. Mhalinka wycieńczona podróżą i głodem przestała chodzić. Miała trzeci rączek, więc była już w miarę mędra. Kiedyś bardzo nam dokuczyła, wołając cieniutkim głosikiem "chleba". My już trochę nauczeni mówić po rosyjsku, mówimy, że "gosudar" nie dał chleba. Tak mówili oni, i my tak mówiliśmy. Oczywiście dziecko nie wiedziało, co to "gosudar" i dalej wołało chleba, było przeciwieństwem głodne. Mama, bezgranicznie umęczona, powiedziała, że jeśli nie przestanie to pójdzie utopić się. Dziecko ucichło ale po paru godzinach zapytało, czy "gosudar" dał chleba. Kiedy usłyszała, że nie, zaśmiała się i stwierdziła, że ona nie chce chleba, tylko tak spytała. Wtedy mama dostała szoku. Natychmiast podjęła decyzję, decyzję straszną. Ja z Mietkiem musimy zostać a mama z małymi dziećmi do rzeki. Znowu lament. Znowu modlitwy i wreszcie uspokojenie. Sporo było takich sytuacji. Pan dyrektor dbał o to. Przy każdym spotkaniu órwił. Najpierw pytał, czy mama nawiązała się już a potem mówił wprost: kiedy ty wreszcie zdechniesz Chciał zaopiekować się dziećmi. Ludzie bali się go jak diabła. Uciekali mu z drogi. Mama natomiast zdobywała się na bunt. Czasem potrafiła zdecydowanie odpyskować. Pogarszało to jeszcze bardziej i tak naszą ciężką sytuację. Nienawidził nas a my jego. Po wypędzeniu z domu zamieszkaliśmy na krótko u Rosjanki, ale tam było ciasno, potrzeba było szukać czegoś innego. Żydówkę też pan dyrektor wypędził. Także liczył na jej współpracę, też przeliczył się. Znaleźliśmy więc w baraku wolny kąt, który zajęliśmy wspólnie. Było to jedno pomieszczenie z sienią i piecem. Ciasno nieznacznie. Żydówka rozłożyła swoje worki zajmując trzy czwarte izby. Dla nas został tylko piec. Lato skończyło się bardzo prędko. Króciutka jesień i przyszedła zima. Nie zadawaliśmy sobie sprawy z tego, co to jest syberyjska zima. Byliśmy bez odzieży, bez drzewa, bez riekiera, sa-3a-

nek itp. Żeby było jako-tako ciepło trzeba było spalić sporo drewna dziennie. Trzeba było zdyboc to. Chodziliśmy więc z Mietkiem na wyspę z pożyczoną siekierą i sankami. Raz dziennie przywoziliśmy sanki drewna, na dzień także spalaliśmy taką porcję drewna. Zapasów więc nie mieliśmy. Żydówka kombinowała po żydowsku bo sama nie mogła dostać się na wyspę. Tu kupiła trochę drewna, tu ukradła. Zresztą ona potrzebowała drewna tylko do gotowania a nie do ogrzewania. Miała pełno różnych betów, owijały się i siedziały na kupie worków. Wyglądało to niesamowicie. My musieliśmy palić bo mieliśmy troje gołych dzieci. Główny ciężar ogrzewania spoczywał więc na nas. Jak okropne jest zimno, może wiedzieć tylko ten, kto znalazł się na wyspie w śniegu, czasami powyżej uszu owinięty szmatami. Ginęliśmy tam. Każdy wyjazd przygotowywany był niezwykle strannie bo można było nie wrócić. Jechaliśmy tam każdego dnia bez względu na pogodę. Tylko "burian" /zamieć śnieżna/ nie pozwalał na opuszczenie domu. Dość często nawiedzał te tereny. Bardzo silny wiatr i śnieżnica powodowały, że nie można było wysadzić nosa z domu. Trwał to to trzy do sześciu dni. Wiele ludzi ginęło podczas takich zadynek. Dobrze było gdy był zapas drewna, ale gdy go nie było to bieda. Czasami trzeba było włożyć pod podłogę do piwnicy aby znaleźć odrobinę ciepła. Obzęd.

Z jedzeniem bardzo krucho. Za wsią były kopce z kartoflami. Kartofle już dawno wybrane. Stoją więc tylko zmarznięte kopce, puste wewnątrz. Gdy się do takiego kopca wchodzi, to można było znaleźć parę zmarzniętych ^{kartofelów} ziemniaków, szczególnie po bokach. Wybraliśmy się z mamą. Zanosiko się na zadynek a my jeszcze nieświadomi niebezpieczeństwa idziemy. Dość daleko. Trzeba przejść przez wieś, innej drogi nie ma. Boimy się bardzo bo nie wolno tam chodzić ale nie mamy wyjścia, musimy zdobyć coś do jedzenia. Na miejscu już dość mocno wiało. Jesteśmy sztywni z zimna ale trzeba coś robić. Mama wchodzi i podaje mi po jednym kartofelku. Żeby tego trochę nazbierać trzeba było splądrować dość dużo tych kopców. Śnieżnica wzmaga się, w tych dziurach pełno śniegu. Rozgarniamy. Walka idzie prawie na śmierć i życie. Jesteśmy tak umaruzani, że trudno rozpoznać się. Wreszcie widzę kogoś idącego. Chyba w naszą stronę. Mówię mamie: Mama wchodzi w pośpiechu. Uciaskamy. Biegniemy do rzeki, schodzimy w dół wracamy do domu. Zadynek już szaleje na całego. Jesteśmy u granic wytrzymałości ale trafiliśmy do domu. Nie wiem, jakie ^{sily} dawały nam taką odporność. Mrożone kartofle smakowały, chociaż dziś mówimy, że nie nadają się do spożycia.

Pierwszą naszą pracą były buraki, o których pisałem. Potem śniwa. Sowchoz miał dwie filie "uczastki", "pierwyj" i "wtoroj". Pierwszy odcinek, bo tak chyba należało to nazwać po polsku, oddalony jest od wsi o dziewięć km, na południe w kierunku gór, drugi natomiast o około cztery km w dół rzeki. Tam były zbudowane baraki, w których

spało się, stokówka z kuchnią, stacja maszynowa i olbrzymie wiaty kryte skórą służące do suszenia i przechowywania zboża. Spało się na podłodze. Gdzie kto położył się to tam spał. Przy każdej pogodzie spało się na dworze. W baraku można było zginąć tragicznie od pluskiew. Było ich mrowie i gryzły niemiłosiernie. Nikt nie troszczył się o to, żeby kje wytępić. Tam pracowaliśmy pierwszego lata przy suszeniu zboża. Rano nbsiliśmy /ile kto mógł udźwignąć/spod dachu na duże klepisko pod gołym niebem. Przez cały dzień przesypywaliśmy je drewnianymi łopatami, żeby schło. Wieczorem znosiliśmy pod dach. Było kilka kobiet, reszta to chłopcy. Praca ciężka. Głód dokucza. Słońce praży. Umęczeni jesteśmy straszliwie. Tak aż do późnej jesieni. Często spaliliśmy w przyzmach zboża. Było ciepło i dobrze spało się, przynajmniej nie było pluskiew. We wsi była stajnia dla koni, chlewnia dla krów i świnia na uboczu. Sowchoz specjalizował się w hodowli świń. Trzeba przyznać że dyrektor dbał o świnie i zbudował ją na sposób europejski. Zorganizował produkcję cegieł. Świnia stawał murowane. Niespotykane w tych okolicach. Był to sowchoz przeodujący nie tylko w kraju Altajskim. O trzy km w dół nad rzeką były jeszcze świnia letnie. Tam wypędzako się świnie, gdzie spędzako całe lato. Celowo opisuję dokładnie te tereny, gdyż z nimi związane było nasze życie, z cegielnią, drugim odcinkiem oraz z świniami letnią i zimową. Na wsi mieszkaliśmy w pierwszym okresie zaskania i pod koniec. Pracowałem każdego lata, natomiast zimą siedziałem w domu. Zajmowałem się zaopatrywaniem domu w opał. Jednej zimy chodziłem do szkoły. Skończyłem czwartą klasę. Najgorzej było z ubraniami i obuwiem. Latem biegako się nago i boso ale zimą chcąc wyjść trzeba było owinać się w coś. Nie było w co. Pierwszej zimy opał organizowaliśmy z Mietkiem, ale następnej musiałem sam. Mietek pracował zimą i latem.

Dzisiaj często sprzeczamy się. Mietek twierdzi, że on miał najcięższe; ja natomiast, że to ja. Uzasadniam to tym, że on był o dwa lata starszy, więc silniejszy. Wszystko, co najlepsze do ubrania miał on i to jest normalne bo pracował. Ja natomiast musiałem organizować jakieś szmaty żeby poowijać się i jechać na wyspę, bądź na drugą stronę rzeki. Piszę jechać a myślę, iść z sankami, nabierać drewna, nakładować i przyciągnąć do domu. W domu porąbać. Musiało być w miarę suche, żeby mogło palić się. Piece były takie, że mokre drewno za skarby nie paliło się. Sanki też były zrobione własnoręcznie. Byłem przy tym młodszy od niego i ~~przemakalszy~~ słabszy. Latem też pracowałem, łowikiem ryby, plotłem koszyki, on natomiast lubił być poza domem. Lubiał też wymagać od nas. Czasami, gdy nie było mamy, był niecznośny i lekkomyślny. Tak i resztą jest do dzisiaj. Bardzo dobry człowiek i bardzo nieodpowiedzialny. Ochodzi swoimi drogami. Ja natomiast martwiłem się na zapas. Bardzo

pożyteczna w tej naszej mikrospołeczności była Irena. Zdych był za mały żeby coś znaczyć, chociaż też czasami pracował. Pracował, to znaczy chodził do państwowej pracy. Jeżeli pracowaliśmy, to tylko za chleb i zupę. Wynagrodzenie było tak małe i rubel tak mało znaczył, że równało się zeru. Miesięcznie zarabiano się najwyżej parę rubli a kilo chleba na Czarnym rynku kosztowało nawet trzysta rubli. Były też okresy, że chleba nie kupiło się za żadną cenę. Nikt nie chciał sprzedać bo każdy przymierał głodem. Kupić i sprzedać najłatwiej było w Bijsku na targu. Czasami można było płynąć motorówką ale tylko przy jakiejś okazji i dyrektor musiał pozwolić. Lepiej było iść pieszo ale to było 36 km. Wpierw szło się do Katuńska 7 km w górę rzeki Katuń. Tam przeprawa promowa i 29 km do rzeki Biji i Bijska. Po drodze nie było nic. Zarośla i trochę uprawnych pól. Bijsk jest dość dużym miastem rozciągającym się po obu stronach rzeki. Połączony mostem pontonowym, rozbieranym na ziemi. Idąc od nas szło się na wschód a centrum miasta było za rzeką. Musieliśmy więc przechodzić przez ten most. Teren był dziwnie ukształtowany. Rzeka płynęła w wąwozie. Nad rzeką jakby płaskowyż, na nim miasto a za miastem widoczna z daleka ściana, tam następny płaskowyż i drzewa. Horyzontu nie widać. Samo miasto było różne od innych. Przepiękne budownictwo drewniane, bardzo stare i bardzo zniszczone. Domy, okiennice, bramy, często ozdobione, typowe dla budownictwa syberyjskiego. Robi to duże wrażenie.

Miasto położone na szlaku handlowym. Jesteśmy bardzo blisko granicy mongolskiej i chińskiej. Z Bijska prowadzą szlaki handlowe do tych krajów. Są to drogi bite, kołowe prowadzące przez góry Altaj. Największe wrażenie zrobiła na mnie "barachołka". Tak tu nazywają targowisko. Tam było wszystko. Taka "russkaja jarmarka". Lubiłem tam chodzić. Widziałem tam mnóstwo biedy, widziałem handlarzy, widziałem złodziei, inwalidów i śpiewających żebraków. Widziałem "bezprizorników". Są to dzieci nie należące do nikogo, tak mniej więcej, jak u nas porzucone psy. Dzieci te są w różnym wieku są obłądnie biedne, leżące na czworaka pod stołami, szukające okruszków, proszące litości. Litowałem się bardzo, ale niestety, nic dać nie mogłem. Sam byłem głodny i wyczerpany.

Były co prawda "przyjuty" /przytulki dla dzieci/ ale ciężko było tam wytrzymać. Dużo dzieci uciekało, szczególnie latem i błąkało się. Bardzo bałem się takiego losu. Modliłem się do wszystkich świętości o zdrowie mamy bo tylko to gwarantowało, że będziemy w gromadce, razem. Choroba albo śmierć, czego pragnął dyrektor, znaczyły by dla nas, dzieci taki sam las albo jeszcze gorzej.

Wyprawa do Bijska trwała trzy dni. Jeden dzień w jedną stronę, drugi załatwianie spraw a trzeci powrót do domu. Bardzo ciężko i bardzo daleko. Nasz sowchoz miał tam nawet hotel, było gdzie przenocować. Hotel, mój Boże. Jeden niecały domek o kilku izbach, bez okien

bez niczego. Tak tam ludzie spali i to nazywali hotelem. Dziś, gdy słucham Żannę Biczewską śpiewającą rosyjskie ballady stale stale przypominam sobie bijski targ. Tam słyszałem to wszystko po xraz pierwszy w życiu w wykonaniu niewidomego mężczyzny. Grał na harmonii i śpiewał a mała dziewczynka zbierała ewentualne datki i była przewodnikiem. Śpiew jego brzmiał tak żałośnie, tak bardzo był podobny do maszej biedy, że do dziś dostaję gęsiej skórki na wspomnienie. Zimą rzeki zamarzały, do Bijska szło się więc tą samą drogą tylko kłapnęło się przez rzekę nie promem, nie przez most a lodem. Najgorzej było wiosną i jesienią gdy rzeka zamarzała albo gdy lody topiły się gwałtownie. Dostanie się do miasta było wtedy niemożliwe. Byli tacy, co przechodzili rzekę po pływającej krze z deską w rękach ale było to bardzo niebezpieczne. Pierwszej wiosny Mama poszła do Bijska a z powrotem musiała brodzić po lodzie, czasami w wodzie do pasa. Wróciła tak niesamowicie zmęczona i zmoczona, że mało nie umarła. Łód był dwumetrowej grubości. Z wierzchu tajał i tworzyły się na nim olbrzymie kałuże, prawie jeziora. Był jeszcze na tyle mocny, że można było przechodzić. Bardzo dobrze pamiętam pierwszą gwiazdkę. Przed wojną rodzice dbali o to żeby święta były radosne. Była chłanka, prezenty, skodycze. Była tradycja, którą kontynuuję do dziś. Tymczasem jesteśmy bez ojca, bez ojczyzny, bez niczego. Zbliżająca się wigilia wywoływała tylko wspomnienia i było bardzo żal. Jest wieczór wigilijny. Żydówka z babcią i synem siedzą w swoich barłogach. My rozstawiliśmy maszynę do szycia, na maszynie położyliśmy trochę siana. Jakies suchary, kiplatki i jeszcze coś, dokładnie nie pamiętam. Opłaska nie ma, są życzenia, tęsknota i wspomnienia, kolędy. Śpiewamy aż barak trzęsie się. W pierwszy dzień świąt to samo, siedzimy na piecu i śpiewamy. Jest wieczór. Otwierają się drzwi. Wchodzi mężczyzna opatulony i strasznie oszroniony. "Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus". Głos wydał mi się podobny do głosu ojca. Przez moment był pewien, że to cud, że ojciec żyje i odnalazł nas. Mało nie pozabijaliśmy się skacząc z pieca na powitanie. Przecież słyszemy mowę polską po raz pierwszy od przeszło pół roku. Okazało się, że nie był to ojciec. Był to pan Skrutynski z Bijska, przedstawiciel Związku Patriotów Polskich, który jeździł po terenie i spisywał Polaków. Już w grudniu 1941 roku Polacy organizowali się. Skoro już wiemy, że my istniejemy kto jest nikła nadzieja, że przetrwamy. Nie jest tak źle.

Tymczasem przetrwaliliśmy pierwszą zimę. Było okropnie ciężko ale żyjemy. Wczesną wiosną bierzemy do roboty w domu sieci. Pleciemy w trójkę. Mama, Mietek i ja. Niezła to robota, tylko bardzo nudna. Robi się ciepło, bardzo prędko topią się śniegi i po dwu tygodniach rusza rzeka. Ludzie zostawiają pracę i biegną nad rzekę bo jest to niezwykle widowisko. Grubość lodu dochodziła do dwóch met-

rów. Koło nas rzeka jakby trochę zakręcała i tu na tym zakręcie robiły się cuda. Ruszyło. Łódź łamie się, jakby to były drobne okrąszyny. Niesamowity huk. Na zakręcie robią się zatory. Tworzą się olbrzymie góry lodowe zmieniające się w każdej chwili. Ludzie stoją wysoko, są bezpieczni. Teatr ten trwa jeden albo dwa dni. Potem wielka woda idzie z hukiem, lodu coraz mniej, aż wreszcie nie ma wogóle. Płynie natomiast sporo przeróżnych rzeczy. Olbrzymia woda i lód zabierają sporo brzegu. Płynęły fragmenty domostw, dużo drewna. Kto miał gotową łódkę i czas to płynął na tę wielką wodę na polowanie. Było to bardzo niebezpieczne ale dla takich okłopotów jak ja była to niesamowita przygoda. Pływaliśmy z Waśką, który miał łódkę. On wiosłował a ja byłem nawigatorem i łowcą. Podpływaliśmy do płynącego bierwiona, wbijałem skobel i trzymając łańcuch holowaliśmy to do brzegu. Zawsza złapało się trochę drewna. Trzeba było bardzo uważać żeby nie zniosło. Prąd był bardzo szybki a niżej za wsiami nie było już miejsca gdzie można by było przycumować do brzegu. Wreszcie ryba. Wszystkie wolne chwile spędzaliśmy nad wodą kowając na wędkę. Latem gorzej kowić bo ryba słabo brakuje. Wiosną natomiast Rosjanie używali "wierszy", takich wiklinowych pułapek podobnych do węcierza. Zastawiało się je na wielką wodę i kowilo sporo miętusa. Na razie nie mamy wierszy i ^{nie}umieemy ich robić, więc nie ma ryby. Robię wszystko żeby podpatrzeć, jak to robi się. Przynoszę wiklinę i robię. Wychodzi to na razie oblesnie ale z niemałym trudem zrobikiem wierzę jak należy. Jednak jest już za późno, woda oczyściła się i ryba już nie wchodzi do tego. Nie szkodzi. W przyszłym roku postaram się, przygotuję nie jedną taką wierzę.

Pierwszego lata Mietek woził wodę do "kombazy" a ja zgodziłem się paść krowy. Władze zezwalały na posiadanie krowy to też co bardziej zasobni trzymali krowinę. Zimą, czasami taka krowina stała pod gołym niebem, czasami nawet w chacie, wspólnie z ludźmi. Niektórzy mieli jakąś obórkę. Latem pasło się krowy z całej wsi. Robił to jeden oddelegowany człowiek. Tego lata akurat ja dostąpiłem "zaszczytu" opiekowania się stadem. Kdo dobrze, bo jest świeże mleko ale praca wyjątkowo ciężka. Teren pastwiska to pięćdziesięci hektarowe mokradło nad rzeką, gęsto zarosnięte łozowymi krzakami. Wiosną tam wylewała woda a latem porastało to bujną roślinnością. Olbrzymie pokrzywy, krzaki czarnej porzeczki, niesamowita zarośla. Gdy moje krowy wlażyły tam, to potem trudno było je pozbierać. Każdego dnia, bez względu na pogodę, ja też wchodziłem w te zarośla. Nogi były tak mocno popękane od rosy i pokrzywy, że nie chciało się żyć. Do tego byłem głodny i słaby. Bardzo ciężko wspominałem to lato. Nie wytrzymałem. Zrezygnowałem, było to ponad moje siły. Resztę lata nie pracowałem, zajmowałem się domem, kowaniem ryby. Wyprowadziliśmy się od Żydówki. Zamieszkaliśmy u Rosjanki w podobnym baraku

o sto metrów dalej. Przyjęła nas, chociaż miała bardzo ciasno. Spaliśmy na podłodze, nas sześcioro z Mamą i ich czworo. W nocy nie można było zrobić kroku. Natomiast w dzień, gdy wszystko porozchodziło się to nie było tak źle.

Lato mija bardzo szybko. Jesteśmy tu już drugi rok. Na zimę pozostajemy bez domu. U Rosjanki nie możemy mieszkać a dyrektor nie chce słyszeć o Polca i jej kłopotach. Na cegielni są puste ziemianki. Można je zająć ale są bez pieców i w bardzo złym stanie. Mieszkają tam wróble. Przeprowadzamy się tam. Do wsi mamy teraz trzy km. Zbliża się zima. Buduję piec z surowych cegieł. Nie miałem pojęcia, jak to robi się. Robikiem na wyczucie. Zrobiłem. Całą ziemiankę wylepiliśmy gliną. Jest bardzo fajnie. Nareszcie sami. Na cegielni już pusto. W sześciu pomieszczeniach barakozemianki mieszka jedna rodzina litewska i my. Późną jesienią przywieźli jeszcze rodziny niemieckie. Byli to Niemcy nadwożańscy. Bolszewicy byli wyjątkowo perfidni. Uciekając przed Hitlerem nie zapominali o tym żeby wywozić co się da. Szczególnie ludzi innych narodowości. O swoich nie dbali tak, jak o innych.

Barakozemianki zapadły się. Dowieźli chyba ostatni rodziny na cegielnię.

Kiedys Mama wybrała się do Bijska, my zostaliśmy w domu. Była już jesień, było chłodno. Zaczął padać deszcz. Zmokły nam zapasy drewna, w piecu przestako palić się. Ziemiankę przemoczyło do czarna. Glina, którą wylepiliśmy ściany i sufit, spłynęła. Mleje dzień i noc. Następną dobę i następną. W chacie nie ma suchej nitki, jesteśmy niesamowicie przemarznięci. Te trzy doby, dały nam się tak mocno we znaki, że chyba nie było potem tak tragicznego momentu. Koniec świata. Pierwsza zima przeżyta na cegielni była bardzo ciężka. Była to zima z roku czterdzieści dwa na czterdzieści trzy. Wyjątkowo zimna. A my w przemoczonej ziemiance. Zaraz po deszczach przyszły mrozy. Ściany i okienko zamarły, że można było jeździć na łyżwach. Tak było aż do wiosny. Około sześciu miesięcy. Co my tam przeżyliśmy? Nie wiem, jakimi słowami opowiedzieć to. Niekończący się koszmar. Piec co parę dni rozpadał się i bardzo słabo grzał. Nie było nafty, dzieci gołe i czarne od ciągłego palenia się kopciki. Na ścianach lód. Uwijam się, nie mogąc nastarczyć drewna na opał. Trochę kradnę, z pustych ziemianek albo wiat. Czasami udaje się ukraść parę desek. Mama pracuje w magazynach przy zbożu, kartoflach i grochu. Czasami przynosi trochę grochu. Natychmiast gotujemy i zjadamy. Bardzo niebezpiecznie trzymać w domu takie rzeczy. Każda wpadka grozi minimum pięcioma latami więzienia. Trzeba pilnować się. We wsi gorzej bo gotowanie czegokolwiek trefnego zdaradzają, roznoszące się zapachy. Pod tym względem na pustkowia jest lepiej, to też pozwalamy sobie na ryzyko. Wiemy, że nim lepiej człowiek odżywia się jesienią i zimą, tym łatwiej

przetrwą przednówek. Kombinujemy drut stalowy, robimy siódka i kłusujemy na zajace. Nikt nie zabrania kłusownictwa. Można polować, jak tylko kto potrafi. Gorzej, że nie ma czynu. Bardzo trudno o drut na siódka. O amunicji nie ma mowy. Broń można zdobyć. Wołno posiadaczą nie zabraniają. Nie jest łatwo oszukać zajaca i zaprosić do siódka. Niemniej udaje się od czasu do czasu złapać. Mięso zajęcze z grochem smakuje wysmienicie i trochę stawia nas na nogi. Po chleb trzeba było codziennie chodzić do wsi. Często chodziłem ja, Czasem Irka albo Mama. Chlebka było po dwieście gramów na osobę. Mama w tym czasie chorowała, to też chleba dostawała jako "użdiwienie". Było tego niewiele. Bardzo ciężko było donieść w całości do domu. Czasami wystarczało wachanie, czasami, gdy ktoś był bardziej głodny to skubnął raz i drugi a chlebka ubywało. Bywało, że Zdzich zjadał cały przydział. Mnie nie zdarzyło się nic takiego. Rykam starszy i bardziej zdyscyplinowany. Bardzo ciężko było ogrzać ziemiankę do przyzwoitej temperatury. Jeszcze gdy był tylko mroźno było zimno ale nie tragicznie ale gdy zaczynało wiać, wtedy było straszliwie. Wkazyliśmy pod podłogę i tam spaliśmy, na kupce, jedno na drugim żeby własnymi ciałkami ogrzewać się. Ciemno, ciasno i zimno. Dół na kartofle, w którym chowaliśmy się, uciekając przed wywiezieniem, zdawał się być luksusem. Szczury wodne wykazyły z nos i także szukały ciepłego kąta. Czasami przebiegały po nas. Gdy taka chmara przeleciała po ciemku to już nie było spania. Oczy i usta pełne piasku. Krzyk, płacz, obłęd.

Wesienią zapisałem się do szkoły, do czwartej klasy. Chodziłem, gdy było cieplej. W sumie skończyłem klasę. Nawet uchodziłem za lepszego ucznia w klasie. Z dużą przykrością tłumaczyłem się za "Janka Muzykanta". Była to lektura obowiązkowa. Nauczycielka wytrząsała się, jak to w burżuazyjnej Polsce traktuje się dzieci. Na nic zdały się moje marne uwagi, bo nie wiele wiedziałem o podkożu napisania przez Sienkiewicza tej nowelki. Wiedziałem tylko, że w mojej Polsce napewno nie było tak. Miałem duży żal do autora. A oni wbijali dzieciom do głów przekonanie o wyższości Sowietkiego Sojusza ponad wszystko. Kierownik szkoły, inwalida wojenny, bardzo mnie lubił. Kiedyś zaprotastowałem. Nie chciałem śpiewać piosenki ubliżającej Polakom. Słowa tej piosenki brzmiały, cytuję we fragmencie: "pomniat psy stamany, pomniat polskije pany" Krzyczeli na mnie ale kierownik jakby był zadowolony ze mnie. Na przedwiośniu jeszcze było zimno na dworze. W klasie było już dość ciepło. Na lekcjach siedziałem w fufajce, która była bardzo brudna i podarta. Nie było już co naprawiać. Przyszedł kierownik, zauważył to i pyta, dlaczego nie rozebrałem się. Wstydzikiem się cokolwiek powiedzieć. Rozchylił moje łachy, pod kufajką byłem cały. Bardzo zdziwił się i chyba trochę zawstydzik. Po lekcjach

kazał zgłosić się do kancelarii. Poszedłem. Dał mi talon na ubranie. Jutro mam iść do Katuszki i pobrać w specjalnym sklepie. Siedem km w jedną stronę. Wstałem reniutko i poszedłem. Dostałem piękne ubranie. Było to chyba ubranie robocze dla piskarza lub młynarza, bo było białe. Materiał był bawełniany podobny do dzisiejszego dżinsu. Tylko biały. Radość niesamowita. Następnego dnia walę do szkoły wystrojony w garnitur aż promieniejący od białości. W szkole zbiegowisko, dzieci zazdroszczą mi. Wreszcie awantura. Nazajutrz dowiaduję się, że muszę podzielić się. Talon był tylko na jedno ubranie a biednych jest więcej. Muszę więc z czegoś zrezygnować. Zrezygnowałem, chociaż było bardzo szkoda. Spodnie oddałem koleżce Rosjaninowi. Nazywał się Bogomolow. Okazało się, że baby zrobiły awanturę kierownikowi, że jak to, on zesłał a ojcowie naszych dzieci itp. Argumenty rzeczywiście nie do obalenia.

Na przedwiośniu zacząłem gromadzić wiklinę na wiersze. Teraz mam już zdążyć zrobić chociaż kilka. Było bardzo trudno ale zrobiłem aż sześć wierszy. Będzie ryba. Tylko do rzeki dość daleko. W zimie robiłem sanki i sanie. Strasznie namęczyliśmy się przy tym z Mamą i całą rodziną. Żadnych narzędzi, tylko siekiera i jakiś tam dzuto. Rosyjskie sanie są ciężkie. Płozy należało wygiąć prawie w obarzanek. Wygięcie brzozy o średnicy powyżej pięćdziesięciu milimetrów wymagało dość dużo siły. Czasami było to ponad nasze możliwości. Mdleliśmy, ale nieustępliwie wyginałymi. Jedną kamarkę się, to następne, aż do skutku. Za takie sanie można było dostać parę wiaderka kartofli. Wielkość tych saní była pośrednia między dużymi a małymi do zaprzęgnięcia krowy. Wreszcie wiosna, lody poszły, na razie nie pracują. Chodzę do szkoły, stawiam wiersze. Z rybą jest różnie, zwykle poniżej oczekiwań. Zastawiam wiersze dość daleko od wsi i od nas. Stały tam tylko moi i głównego mechanika sowchozu. On miał też sześć wierszy. Przez jakiś czas ryba tak jakby przestała wchodzić. Co przyjdę na przegląd to nie ma nic. Myślę sobie, czy aby ten mechanik nie uprzedza mnie. Proszę mamę o bardzo wczesne obudzenie mnie. Jeszcze ciemno. Przychodzę nad wodę. Strasznie. Woda szum, ciemno, nikogo dookoła. Przeglądam wszystkie wiersze po kolei, i jego i moje. Jest ryba. W niektórych nawet po trzy młętusy, niektóre olbrzymie, prawie równe ze mną. Jestem oszołomiony, dziękam natychmiast. Boję się bardzo, bo gdyby złapał taki bolszewik, to mógłby nawet utopić. Rybę przeniosłem do domu. Radość wielka. Nazajutrz już zostały tylko moje wiersze. Pan mechanik przenosił się w inne miejsce. Jemu było łatwiej bo jeździł koniem. Któregoś dnia nawet złapałem jesiotra sterlotkę, co było rzadkością w tym rejonie. Myślałem, że to złota rybka. Pięknie wyglądała w złotym pancerzu. Kiedyś złapałem szczupaka olbrzymia. Woda opadła a on

został w kałuży. Ledwo przynieśliśmy go do domu razem z kolegą Niemcem. Do szkoły chodźnikiem na drugą zmianę od godz. 14,00 do 22. Wiedzieliśmy, która godzina bo we wsi wybijali każdą godzinę, jak zegar. W zimie dostaliśmy od Litwinki starą teczkę skórzaną. Z teczki tej wytkroiliśmy cholerkę, podszewy zrobiliśmy z brzozy i tak powstały drewniak. Bardzo ciężko chodźniko się w tym ale nie było wyboru. W każdynrazie miakem w czym chodźnik. Z utęsknieniem oczekiwaliśmy wiosny, takiej prawdziwej, żeby można było chodźnik boso. Kaz szko- neczko na tyle mocno przegrzało, że nie wytrzymałem, zaryzykowałem i wybrałem się do szkoły boso. Było fajnie, ale nie prz. wiedziałem, że wieczorem będzie zimno. Myślałem, że dam sobie radę. Gdy wy- szedłem po lekcjach i zobaczyłem że dwadzieścia centymetrów śniegu to nie wiedziałem co począć. Oczywiście, dałem sobie radę, dobie- głem do domu na bosaka, nawet nie chorowałem. Ponad trzy km boso po śniegu. Momentami myślałem, że nogi odpadną. "ama co prawda wy- skaka Zdzicha z drewniakami ale nie spotkaliśmy się.

Rok szkolny kończył się u nich dość wczesnie. Ukończyłem czwartą klasę i na lato trzeba było rozzejrzeć się za pracę. Idę do drugiego polnego odcinka /tak to brzmia w dosłownym przekładzie/ i tam zaczynałem pracę. Pracownik ze mnie dość lichy, mam zaletnie czternaście lat. Mama pokręciła w dokumentach żebyśmy byli młodsi, więc jestem w jedenastym i na tyle wyglądam. Jestem bardzo mały i szaby, to też nie dostaję żadnej samodzielnej pracy, tylko poma- gam przy pracach polowych. Jest ciężko, kończy się akurat akcja sz- siewna i zaczynają się sianokosy. Ludzie muszą bardzo śpieszyć się z pracami polowymi. Trzeba ze wszystkim zdążyć, inaczej nie nie wyrosnie i nie dojrzeje. Lato jest bardzo ciepłe ale bardzo krót- kie. Przez parę dni kazano mi zostać w bazie do pomocy w kuchni. Musiałem wstawać bardzo wczesnie i iść z siekierą do krzaków, nara- bać drewna i nanosić aby było na gotowanie i na zapas. Do krzaków było w dół od bazy około 200 metrów. Dość blisko, ale tak gęsto porośnięte trawą, że trudno było tam wejść. Istna dżungla. Rano rosa i zimno. Nogi okropnie spękane. Wchodzenie w zarośla było bar- dziej niż przykre. Nie było rady, trzeba było. Chodźnikiem po to drewno ponad tydzień. Byłem bardzo szaby i wymęczony. Rano, gdy wlaźko się w zarośla to było okropnie zimno. Któregoś dnia siekie- ra zaśliznęła się i uderzyła siebie w nogę. Była dość ostrą, roz- waliłem więc prawą stopę. Zrobiło mi się gorąco. Ranę szybko ob- sikałem, bo tak tam robią i oblepiłem niemią. Potem nie wiem, co stało się bo gdy obudziłem się to słońce już było wysoko. Zemdla- łem i chyba usnąłem. Trwało to ze trzy godziny. Nie dostałem żad- nego tężca, rana prędko zagoiła się. W tym czasie klepałem kosy koszącym kobietom. Była to względnie dobra praca ale trzeba było bardzo uważać żeby jako-tako wykłapać. Nigdy nie robiłem tego przedtem. Podpatrzyłem i jakoś wychodźniko. Jedźnikiem koniem

Jeździłem koniem na grabiarce, wozilem siano, układałem stogi. Dość ciekawie u nich wozi się siano do stogów. Z młodych brzoź robią "wałakuszu". Jest to kilka drzewek z gałązkami umocowanymi prostopadle do drąga, trochę większego od orczyka. Często zaprzęga się do konia, na którym siedzi chłopiec bez siodła. Podjeżdża się do kopki siana, przewraca ją na te brzoźki, przywiązuje sznur i ciągnie do stogu. Tam odwiązują sznur, siano zostaje przy stogu i jedzie się dalej. Jest to spratnie pomyślane. Na większym polu było do dwudziestu takich chłopców wożących siano. Praca ciężka. Słońce doskwiera a tyłek boli, że nie sposób usiedzieć. Jeździliśny więc leżąc brzuchem na końskim grzbiecie. Konie też były niespokojne bo słońce i baki dokuczają im. Siano ładowały i odbierały kobiety. Mężczyźni byli na wojnie. Kobietom pozostały po nich wspomnienia. Wspominały więc nie kępując się chłopców. Nasłuchałem się tam sporo ciekawych rzeczy. Wszystkie te prace są bez porównania lepsze od plewienia buraków.

Reszcie żniwa. Zostałem pomocnikiem kombajnisty. Gorzej niż obłąd. Upał, kurz, huk, tak przez cały dzień od witu do nocy. Okropnie ciężko, chociaż ja tam wiele nie robiłem. Głównym moim zajęciem było pilnowanie słozy, wysypywanie pociągając za sznurek. Ale wystarczyło być tam przez cały dzień. Jesteśny stale głodni bo wyżywienie liche. Jak zwykle pół kilo chleba i trzy rasy posłna zupa. Jemy każdą jadalną zieleninę. Pisałem już, że ziemia radziecka była osrana. Otóż z głodu i od zieleniny, prawie każdy cierpi na chroniczne rozwolnienie, niekiedy nawet z krwią. Kiedyś chłopcy założyli się, że jeden drugiego osra z odległości dziesięciu metrów i osrał. Nieprawdopodobne a jednak. Ustępu nie było na tej bazie to też na każdym kroku można było wdepnąć. Z ciekawostek należy wspomnieć o łaźni. Rуска "bania" to coś nadzwyczaj dobrego. Dla nas nie nowość bo na Wileńszczyźnie były takie same banie. Nowością było kąpanie się razem mężczyzn i kobiet. Bardzo wstydzikiem się chodzić tam ale było to ciekawe. Byłem już w wieku, w którym budzi się w człowieku zainteresowanie płcią. Mietek też pracował na tym odcinku ale bardzo rzadko widywałem się z nim bo był starszy i pracował w innej grupie. Zaliczał się do mężczyzn. Do domu nie było daleko, ze dwa kilometry, czasem chodziliśny, ale tylko wtedy gdy pozwalał na to czas. W łaźni trochę człowiek wymyśl się, ale najważniejsze, że wyprażył wszy, które w tym czasie okropnie dokuczają. Prost nie było na nie rady. Jedynym i to mało skutecznym środkiem na nie była łaźnia. Gdy szło się do domu, to zawsze coś zanosilo się dla dzieci. Był to kawałek zaoszczędzonego chleba, albo zupa z kolacji. Trudno opowiedzieć, jak ciężko nosić przy sobie przez parę godzin, od obiedu do wieczora, kawałek zaoszczędzonego chleba. Chleba, który miał smak ponad wszystko, co kiedykolwiek jadłem w życiu, którego zapach doprowa-

Jedak nieomal do omadlenia. Jakże ciężko jest żyć o wiecznie pustym żołądku. Wszystkie myśli, narzeka, wszystko, co dzieje się w człowieku jest podporządkowane jedzeniu. Nie ma cwili wytchnienia. Kiedyś w dzieciństwie, w Polsce, gdy powodziło się nam dobrze, nie wiedzieliśmy, co to znaczy. Czytałem nieraz broszurki, w których opisywana była gehenna dzieci sowieckich umierających z głodu, dziś i mnie niewiele brakuje. Czasami coś kombinujemy z Mietkiem żeby ulżyć troszeczkę. Kiedyś Mietek z kolegą Rosjaninem ukradli woreczek ziarna. Była to chyba wyka, około dziesięciu kilogramów. Miary nie było w domu. Urwałem się z pracy i z młodszą przystąpiłem do działania. Nastawiłem duży garnek wody na supę bo miałem parę ziemniaków. W drugim garnku nastawiłem wykę na gęsto. Resztę ziarna zakopałem w woreczku pod podłogą. W domu podniecanie. Dzieci cieszą się bo będą miały pełne żołądki. Ja też. Mietek z kolegą musi jechać z powrotem i ich nie nakarmię już. Soli nie było. Wieszkołdzi. Nie możemy doczekać się, kiedy to będzie gotowe. Nawet dość smaczne. "styscy" stoją przy garach, dają więc od czasu do czasu po żyłce. Gdy przyjechał Mietek to byliśmy już najedzeni. Więcej już nie gotowaliśmy tego ziarna. Dość ciężko odchorowaliśmy tę libację. Wszyscy. Przepuszczalnie było to ziarno zaprawione do siewu, stąd zżarło się.

Osobne miejsce w opowiadaniu powinny mieć "Zandoryki". Są to zbierane wiosną kartofle na kartofliskach. Jesienią, podczas wykopków ludzie celowo zostawiają w ziemi możliwie jaknajwięcej kartofli. Przez zimę one przemarzną a na wiosnę po odtażeniu leżą w ziemi aż zacznie się orka. Wtedy je zbierało się, robiło z nich placki i jadło. Nawet dość dobre. Te "Zandoryki" trzymały ludzi przy życiu. Wprawdzie nie wolno było tego zbierać ale aż tak bardzo nie pilnowali. W szczególności dzieci zbierały je masowo. Czasami jeszcze w czerwcu zdarzyło się wyschnięty kartofelek. Wtedy to je jadło się już na surowo. Wyglądało to dość fajnie. W woreczku z łupinki było trochę suchego krochmalu. Czegę to człowiek nie jadł. Gdy miałem wolne to szedłem do lasu, wybierałem z gniazd młode wrony, sroki, jasturzybie, supaki, nawet wróble. Szczególnie wróble są pyszne. Do tego dużo zieleniny, takiej jak lebiada, pokrzywa, wspomniany już ślizun, chyba korzenie tataraku. Natomiast latem w zaroślach rosło dużo dzikiej porzeczki, kaliny, jeryzyny i rókitynika /ablepika/. Owoce tych roślin są niezmiernie bogate w witaminy. Jadło się dużo tego. Nawet trochę suszyło się. O przetworach nie było mowy bo nie było w czym tego robić. Bardzo ciężko było zdobyć jakiegokolwiek naczynie. Nie wspominałem o cukrze bo go nie było wcale. Łatwo można było ukraść makuchę. Dobry był słonecznikowy lub lniany ale najczęściej dostępny był rzepakowy lub chyba z nasion bawełny.

Od biedy można było to ujeść, ale tylko po to by napchać żołądek. Jesienią harbuzy. W naszym sowchozie był czarozien, to nie udawały się, niedużo było tego. W sąsiednim sowchozie, gdzie teraz był trochę pofałdowany, ziemia była płaszczysta. Tam na setkach hektarów uprawiali tylko harbuzy. Gdy dojeżdżały to w naszym sowchozie było wielkie poruszenie. Kto żyw, ten szedł, jechał tam aby trochę tego ukraść. Nie było to łatwe bo pilnowali, ale nasze wyprawy zawsze były skuteczne. Jedni jechali konno, żeby oszukiwać strażników, inni jechali wozem i czasem przywozili cały wóz. Zjeść tego można było chyba bez ograniczenia, bo to jest sama woda. Jedli i sikali. Mieliśmy też działkę. Każdy mógł dostać 20 arów pola, na którym mógł zasadzić kartofle, pomidory itp. Działki dla pracowników zawsze dawali na lepszym terenie a już dla przesiedleńców /jak nas tam nazywali/ na terenie nie nadającym się do użytku. Długo tego też nasze plony były mizerne. Żeby przeżyć zimę, to trzeba było dla naszej rodziny około stu-stupięćdziesięciu wiader kartofli. My organizowaliśmy nie więcej niż pięćdziesiąt. W takiej sytuacji stale trzeba było głodować. Fandętam - Mama była w Bijsku /ciągle wojowała o zdobycie jakiegoś dokumentu, że jesteśmy Polakami/, siedzimy w domu, okropnie głodni. Wiemy, że za wsią są kopce buraków pastewnych. Jest zima i to bardzo ostra. Już druga. Mietek decyduje, że jedziemy po buraki. Bierzymy sanki, sikiarę, worek i w drogę. Trudność w tym, że trzeba iść przez całą wieś. Innej drogi nie ma. Wszędzie zawiane. Na miejscu, pierwsze, to najedliśmy się takich prosto z kopca. Potem naładowaliśmy pałen worek i jedliśmy do domu. Serce zamiera ze strachu. Co będzie gdy złapią? Mówię, że bardzo boję się. Mietek stanowczo oświadczył, że każdemu, kto nam przeszkodzi gotów jest rozwalić głowę sikiarą. Wtedy dopiero miałem stracha. Zimno, ciężko i takie emocje. Miałem nie umarkem. Wieś przejechaliśmy zupełnie spokojnie. Pod wieczór jesteśmy w domu. Buraki olbrzymy zamrożone na kość. Z miejsca do roboty. Naobieraliśmy, narąbaliśmy sikiarą, włożyliśmy do dużego garnka i gotujemy. Wieczorem, gdy przyszła mama, buraki były gotowe. Jedliśmy to, ale jakże niedobre były. Potem jeszcze parę razy chodziliśmy tam. Mieliśmy szczęście, nikt nas nie złapał. Kbyły bardzo niesmaczne ale niestety, nie mieliśmy wyjścia. Walka ze śmiercią głodową jest czymś strasznym. Może to aż tak bardzo nie dotyczyło nas, ale dość często ocieraliśmy się o śmierć. Nie trzeba być mieć wiary i siły wytrwania. Widocznie mieliśmy, bo żyjemy.

Kiedyś zdobyłem się na czyn desperacki. Było to drugiego lata. Mieszkaliśmy jeszcze we wsi z Żydówką. Bardzo, ale to bardzo brakowało soli. Wszystkiego brakowało, ale gdy brakuje soli to jest bardzo źle. Już lato ale jeszcze przednówek. Okropnie głodno. Cza-

sami śladę jakąś rybę, czasami zdobędę trochę makucha, ale to wszystko bez soli. Okropnie. Za wsią jest "mokfirma", czyli duża chlewnia-obora, właściwie cały kompleks hodowlany. Bardzo ciężko było cokolwiek ukrąść tam. Filmowali, a gdy złapali, to parę lat murowane. Na dworze koryta, w korytach kawały soli, krowom do liżania. Ale weź to. Zaczynam się. Cały dzień leżałem w trawach i wypatrywałem. Trochę tam chodziłem między korytami. Wypatrywałem spory kawałek i w odpowiedniej chwili wrzuciłem go w olbrzymie liście kopium. Wtedy już spokojnie wyszedłem z terenu firmy. Pośladkiem dookoła, podczołgałem się, trwało to bardzo długo, odrzucałem to dalej i jeszcze dalej. A potem już spokojnie do torby, na plecy i do domu. Ale nie tak znowu spokojnie bo musiałem przejść koło domu, w którym mieszkali chłopcy, z którymi mieliśmy porachunki a oni z nami. Gdy zobaczyli mnie, to wybiegli ich całą zgrają. Kilku podszło do mnie i zaczęli mnie popychać, kopać, szarpać. Mnie pytają, co mam w torbie i dobrze. W pewnym momencie zamachnąłem się i jednego walnąłem po głowie całą torbą. W torbie parę kilo soli, nie na kartów. Dostał i padł jak długi. Rozpięzłem się a ja w nogi do domu. Zdobyć takiego kawałka soli to było coś. Czasami, ci pilnujący byli nadgorliwi, wtedy gorzej było coś ukrąść, ale dużo było takich /w większości kobiet/, że nie zwracali uwagi, albowiem wręcz wykładali, żeby dzieci pożywiły się trochę. Ważna paska świnie. Było to daleko za wsią, nad rzeką, w dół rzeki, w letnich świniarниках. Tam kucharki gotowały dla prosiat kisiel owsiany. Mąka owsiana odpowiednio zakwaszona i gotowana. Po zastygnięciu wyglądało to jak galaretka, można było naleć do naczynia, wystudzić i był z tego krążek. Pastuchom bardzo ceniło się tego, byliśmy wtedy głodni. Dość często znajdывaliśmy krążki kisielu podrzucone w naszym sypialnym boksie. Były bardzo smaczne i pożywe. Sypialny boks to jedna klatka z brzozi świniarnika, wynoszczona słomą. To wszystko było zrobione z desek. Świnie były zawieszona, my jeszcze bardziej. Wiesz świnia jest większa od wszy ludzkiej. Po paru tygodniach spania prawie razem ze świniami, byliśmy tak dokładnie zawieszani i pogryzieni, że nie można było znaleźć na ciele kawałek skóry bez bąbla. Koszule, bo każdy jakąś miał, prażyliśmy nad ogniem, obtłukiwaliśmy kamieniami, wybieraliśmy palcami. Nic nie pomagało. Okropnie śmierdzi. Pacanie świnia to nie taka łatwa sprawa jak z owcami, czy krowami. Nie. Za nic nie można stada utrzymać w kupie. Stale rozkują się, bez końca trzeba tego pilnować. A się mało. Często modliłem się chodząc po polach, płakałem, śpiewałem i wspominałem. Zdecydowanie gotów byłem oddać życie za to, żeby być w Polsce i być czysty i syty. Boże, jak było ciężko! Nie do opisanie. Słońce prażyło łeb bez litości. Któregoś dnia byłem tak umęczony, spłakany, że zostawiłem stado na polu i poszedłem do domu. W domu powiedziałem, że jestem chory.

Mam obmyślę, jakoś nakarmić, trochę przeszło mi. W nocy ktoś dobiega się do drzwi. To goniec z kantoru. Wzywają mnie do dyrektora. Mama powiedziała stanowczo, że jestem chory i że nie puści mnie. W tym czasie Mama całe lato chorowała na tyfus. W ziemiance bakałgan. Mama leży na podłodze. Młodsze rodzeństwo nie może sobie poradzić. Koszmar. Zostałem, żeby trochę zająć się domem. W międzyczasie plotłem koszyki, oplatałem butelki, robiłem krzyżki z blachy aluminiowej. Wszystko sprzedawała Irena. Ona umiała sprzedać, ja nie. Ja umiałem podpatrzeć, jak to robi się i zaraz sam robiłem. Umiałem wyplatać baty, wiersze, o których pisałem, robić sanki. Nie było to łatwe ale dawałem sobie radę. Na koszyki zwykle używałem wikliny, której nie brakowało. Rosła dziko. Natomiast na ładniejsze trzeba było zdobyć korzenie. Korzenie zwisały jak liany nad rzeką z osuwającej się skarpy. Trzeba było tam wspinać się. Wziasami było to niebezpieczne. Nad głową nawisy ziemi i korzeni, w dole, pięć, dziesięć metrów niżej szumiący nurt wody. Gdy miałem dobre, długie korzenie to miałem co robić. Chętnych na moje wyroby zawsze było sporo.

Pan dyrektor przy każdej sposobności starał się dekuczyć. Już mama była zdrowa, już chodziła, gdy spotkał ją i wykrzyknął mocno. Jak zwykle pytał "czy ty jeszcze ^{cz} nie podochna". Na razie kończyło się na tym. Na drugi dzień w kantorku, gdzie dawali chleb, zabronił sprzedawczyni dawać chleb Polaczce. Nie dostawaliśmy przez tydzień. W domu okropna bieda. Dzieci nie pamiętają już zapachu chleba. Mama mówi, że nie będzie prosić. Trudno. Po dwieście gram na osobę. Nie dużo, ale ^{jak} bardzo brakuje. ~~Wszystko~~ Zdecydowałem się iść do dyrektora. Prosić, czy walczyć, nie wiem. Wiem, że tak nie można. Było już zimno. Opatuliłem się i poszedłem. Bardzo wystraszony ale idę. Przyszedłem do kantoru. W korytarzu mokro i ciemno. Stoję zmarnięty przed gabinetem, czekam, aż pan dyrektor raczy zawołać. Widział mnie, bo co chwila wychodził do innych pomieszczeń. Coś załatwia, denerwuje się, gestykuluje. Trwa to dość długo. Wreszcie zawołał: "na ty szto chcesz?" Mówię, że chleba. Nie dał mi skończyć i mówi: "rzucicie swoją matkę bo ona poniszcy was, Sowiecki Sojuz zaopiekuje się wami i będziecie żyć jak ludzie". Coś tam wybełkotałem w płaczu a on dał znać, że rozmowa skończona. Wyszedłem ze ściśniętym sercem. Tam mocno byłem wzruszony, że nie mogłem iść. Stałem tak chwilę i płakałem. Strasznie. Myślałem, że nie dojdę do domu. Idę, przechodzę koło kantorku z chlebem a sprzedawczyni puka w okno i woła żebyś wszedł. Wchodzę a ona mówi: "coż dyrektor kazał wydać chleb, nawet ten załegły". Nie do wiary. Zadzwoń. Jednak ruszyło go sumienie. Dostałem półtora bochna chleba. Boże, jaka radość. Niosę, wacham, jem, płaczę i cieszę się. Przyniosłem do domu. Jakże byłem dumny

z siebie. A ileż radości sprawiłem wygłodniałym dzieciom.

Jesienią troszkę zabezpieczyliśmy ziemiankę. Mieliśmy nie wiele kartofli, trochę zabezpieczyłem drewna na opał i czekamy na zimę. To już będzie trzecia. Jaka będzie? Czy przetrwamy? Ludzie bardzo boją się zimy, my tymbardziej. Przedtem nadeszły skoty, potem mróz bez śniegu, taki do pięćdziesięciu stopni. Wpierw dokładnie zmoczyło chatę, potem zmroziło aż ściany pokryły się lodem a w środku my. Prawie bez odzieży. Suszymy łachmany, jakie mamy, okrywamy mniejsze dzieci i trwamy. Nawot spaliśmy w piecu. Drzewa nie było dużo, nie można było napalić aby utrzymać jakotak temperaturę. Żeby zdobyć trochę opału, trzeba było stale chodzić po zaroślach i zwozić do domu, co da się. Przymarzaliśmy strasznie. Znowu wkazimy pod podłogę. Zima nie żartuje. Bardzo ostra. Jedna z ostrzejszych zim syboryjskich. Dzieci gołe, ciemne, szczury, zimno. Trwamy. 14 stycznia 1944 roku sowchoz obiega lotem błyskawicy wiadomość. Zmarł dyrektor. Wylew krwi do mózgu. Był bardzo wypasiony. Wiadomość ta poruszyła wszystkich dogłębnie. Nas szczególnie. Ludzie cieszą się ale bardzo dyskretnie. Nie wolno. Boją się. Był takim tyranem. I już skończyło się. I tak niedawno byłem u niego. Mądrzył się. Robił, co mi podobało się. Jestem przerażony. Cieszymy się bardzo, ale boją się, to my uprosiliśmy Ostrobramską i ona wysłuchała nas. Nie chcieliśmy przecież żeby było aż tak. Straszne. Na pogrzeb wypędzili wszystkich. Też byłem. Mama płakała. Prawie mdlała. Bałem się, że może umrzeć. Mróz ostry. Dół wykuty w zmarzlinie. Długie przemówienia. Ludzie zmarznięci a w sercach otucha. Spodziewamy się poprawy naszego dramatycznego losu. Przecież ginimy. Nie myliliśmy się. Dyrektorem został zwykły człowiek, Rozjanin, oczywiście partyjny. Nawet trochę pokpiwali z niego że jest przygłupem. Jakoś tam zaczął rządzić. Pewnego dnia jadąc koło naszej ziemianki zatrzymał się i wstąpił. Pokaż Polaczka, jak ty żyjesz? Poglądał, pokiwał głową i kazał przyjść do „kantory”. Zdecydował. Dam ci mieszkanie we wsi, dam chleb jak dla pracującego t.j. pięćset gramów. Będiesz sowchozową szwaczką /jedna maszyna do szycia we wsi/, będziesz szyc dla ludzi, co oni tam zechcą i oni będą płacić za robotę, czym kto może. Roboty duże, bo każdy ma coś do zakatania, przerabiania itp. Piękna propozycja. Co prawda mieszkanie nieszczególne ale bez porównania lepsze od ziemianki. Była to północna strona dwurodzinnego domu. Sien i dwie izby. W środku dość dobry piec. Tylko jedno bierwiono zgniło na całej długości, przez obie izby. Dziura, że można włożyć przez nią. Jak mogliśmy, zaklepaliliśmy dziurę. Dali byka, sanie ze skrzynią i skomę. Przeprowadzamy się. Nie takie to proste. Jest bardzo zimno, a dzieci gołe. Pożyczamy jakieś łachy, owijamy dzieci i jedziemy. Ja już byłem w nowym domu, paliłem w piecu a Mietek

2. mamą zatrudwali, dobytek i wozoz. Nawet prosiłką, mieliśmy.

Był taki rachityczny. Nie rósł, bo nie było czym karmić. Prosiak zakwiczał, byk przestraszył się i w nogi. Uciekł z saniami i z dziećmi aż na bazę. Zanim Mietek dopędził go, trwało to conajmniej drugie tyle czasu. A mróz nie żartuje. Przyjechali okropnie przemarznięci. Od tego czasu nasze życie zmieniło się radykalnie. Też było ciężko. Czasami nawet bardzo, ale nie to co na cegielni. No i zaczęła świtać nadzieja powrotu. Mama zaczęła chodzić do Bijska i do rejonu. Pan dyrektor wszędzie podał nas jako Białorusinów. Trzeba było odkręcić. Nie było to proste. Szczęście, że nigdzie nie było podpisów. Pomału, pomału wystarała się o dokument stwierdzający, że jest Polką. Radeś nie trwała długo. Gdzieś tam w biurze powiedzieli, że: "dobrze, pojedziesz do Polski, ale dzieci niedamy, bo nie ma dowodu, że są twoje". Znowu problemy, znowu chodzenie, przełonywanie, płacz. Strach pomyśleć, że gdyby był był dyrektor Kunicki, nigdy by tego nie zatwika.

Doczekaliśmy wiosny. Będzie to już czwarte lato. Już wiemy, że wojna chyli się ku końcowi. Walki już toczą się blisko Polski. Może przetrwamy. Majgorszy przednówek. Jesteśmy już zahartowani. W tym najtrudniejszym czasie, znowu idę paść świnię. Jest ciężko, ale jakby jestem silniejszy, więc katwiej. W domu też mają trochę łżej. Przynajmniej nie muszę dzielić się swoją porcją chleba. Tak, jak w ubiegłym roku jemy kradziony kisiel a w wolnych chwilach jagody i owoce. Kiedyś przyszła kierowniczką i powiedziała, że mam iść do Mamy i powiedzieć, że jest dobity prosiak, którego można kupić za sto rubli. Ona była z mamą w dobrej komitywie, więc propozycja była po znajomości. Mama przyszła, zapakowała pieniądze i poszliśmy po prosiaka. Upał okropny. Idziemy ze swiniarką do boksu, takiego, w jakim śpimy, tylko z innej strony. Już w pobliżu zaczęła śmierzdieć, ale gdy odkryła ze skóry, gdy zobaczyliśmy chmurę much i bardzo chudego i granatowego prosiaka z olbrzymim brzuchem, to odechciało się nam mięsa. Mama powiedziała, że rezygnuje, że nie ma zamiaru otruć dzieci. Zabrała pieniądze i poszła do domu. Na drugi dzień coś pokręcili. Rano nie dali chleba. Poszliśmy do pracy tylko o zupie. Zupa była bardzo licha. Z obiadem też dość długo zwlekali. Nikt nie oponował. "Obiad nie gotow" i nie ma dyskusji. Swiniarki i pastuchy cierpliwie czekali. Wreszcie około piątej po południu wydali chleb i kupę. Zupa była ugotowana na tym prosiaku. Jedliśmy, bo byliśmy bardzo głodni. Potem kucharki opowiadały, jak zwracały podczas przygotowania i gotowania. Okropność. Latem przyszedłem do domu i już więcej nie pracowałem. A to łowikiem ryby, a to plotkiem koszyki. Czas bardzo dłużył się. Nie można było doczekać się. Zgnika bierwiono w ścianie naszego domu, dogniło do reszty. Zrobiła się duża dziura i groziło zawaleniem. Trzeba było przenieść się. Nie bardzo by-

do dokąd. Wojna już dawno skończyła się, czekamy więc odjazdu. Nie martwimy się za wiele, bo to tuż, tuż. Ale to odwlekało się i odnie-
wlekało i okazało się, że trzeba będzie jeszcze zimować. Trudno.
Zamieszkaliśmy w takim domu, w którym nie było pieców. W obliczu
zimy jeszcze raz przenieśliśmy się. Dwie izby, piec i to wszystko.
Okna powybijane. Jakoś połataliśmy i trwamy. Nie wszystkie formal-
ności związane z wyjazdem załatwione. Mama chodzi do Bijska i do
rejonu. Załatwia i czuwa, żeby czego nie przegapić. Ja chodzę na
drugą stronę rzeki po drewno. Mietek pracuje w transporcie. Jeź-
dzi po słomę i po drewno. Czasami zabieram się z nim, wtedy łat-
wiej, nie trzeba tyle wciągnąć. Pełne sanki drewna są dość cięż-
kie. Mam dobre, ładne sanki i dobrą siekierę. Narty też zrobiłem
własnoręcznie. Zrobiłem rzemienie do przywiązywania drewna i szel-
ki do ciągnięcia. Ręce muszą być wolne, żeby w razie czego móc po-
liczki rozcierać śniegiem. Bardzo łatwo można odmrozić, szczegól-
nie gdy wracało się z drewnem do domu. Rzeka była szeroka około
trzech kilometrów. To bardzo daleko. Twarzą w kierunku zachodzą-
cego słońca. Mróz wzmagał się pod wieczór i tak smagał po policz-
kach, że małe przegapienie mogło źle skończyć się. Czasami chodzi-
łem sam po drewno, czasami było nas kilku. Raz byłem z dziewczyną,
chyba trochę starszą odemnie. Zbieramy sobie drewno a w oddali
słyszymy jakby głosy, jakby stukanie siekiery, ale nie to nas nie
obchodzi. Wreszcie zza krzaków wybiega mężczyzna i do nas a my
w nogi. Uciekamy co tchu ale on był szybszy, dogonił. Spodobały
się mu moje sanki i siekiera. Odebrał. Zapamiętałem go łatwo, bo
całą twarz miał w strupach po odmrożeniu. Nazajutrz Mietek zorga-
nizował wyprawę. Nawet wiedzieliśmy gdzie mieszka. Po drugiej
stronie rzeki. Przyjechaliśmy. Było nas chyba sześciu. Zastaliśmy
go w domu. W ziemiance staruszka na piecu, chyba matka, i on krzą-
tający się po chacie. Mietek pyta, czy to ten? Mówię, że tak.
Zuca się na niego z batem, wali po głowie. W ziemiance pełno pary,
wrzask, facet ze strachu klęka na kolana i coś jęczy. Oddawaj san-
ki i siekierę. Nie przyznaje się. Patrząc, na podłodze pod pryczą
leży moja siekiera. Chwytam i krzyczę, że jest. Chłopcy jeszcze
tłuką go. Gdzie sanki? Nie ma. Już komuś sprzedał. Siekierę odzys-
kaliśmy. Zrobiłem następne sanki. Już nie starałem się bo wiosna
blisko i coraz bliżej wyjazdu. Mieszkanie okazało się dość zimne,
to też ciężko poradzić z opałem. W pobliżu był barak i tartak.
Po cichu co wieczora ukradłem deskę lub parę desek i jakoś radziło
się. Pod koniec lutego Mama znów poszła do Bijska a my ~~w-
tore~~ zostaliśmy sami. Bez niczego. Pojechałem na nartach nad rzekę, da-
leko od domu, naciąłem wikliny, odmroziłem i plotę koszyki. Jeden,
drugi. Irena niesie do wsi i sprzedaje. Nie zdążyła wrócić a tu
Mama. Umęczona i uradowana. Dwudziestego siódmego marca odjeżdżamy
do Palaki. Cieszymy się, modlimy się i płaczymy z radości. Boże.

Wracamy. Biegnę na bazę zawiadomić Mietka. Kierownik, gdy dowiedział się, że wyjeżdżamy, natychmiast zwolnił go z pracy. Jesteś już wolny. Cieszył się razem z nami. Nastąpiły chwile przygotowań i wyczekiwania. Mama z Mietkiem poszła do rejonu na szczepienia, ja nie musiałem. Po jakimś czasie, gdzieś w połowie marca przyszło pismo, że ja też muszę być szczepiony. Zastrzyków bałem się jak ognia. Nic nie poradzę, muszę iść. Wybrałem się rano, jeszcze ciemno, bo daleko, osiemnaście km w jedną stronę. Mroźno. Kawaleczek suchara na drogę. Idę. Po drodze mijam pierwszą bazę, gdzie kiedyś pracowałem. Wiem, że kiedyś Mamę i Mietka zapałała na tej drodze zadymka i że omal nie zginęli. Dziś jest słonecznie, nie mi nie grozi. W rejonie dostałem zastrzyk pod łopatkę, kupiłem zupę "szczy" /ogórkową/. Była postna i niemaczna. Zjadłem z sucharem i w drogę do domu. Zrobiło się ciepło popołudnie. Już słoneczko roztapia wierzchołki śniegu. Jest mi ciepło, porozpinałem mi się i idę. W roztopionym śniegu idzie się ciężko. Idę, grzęznę. Umoczyłem się i umęczyłem, a do domu daleko. Nawet nie spostrzegłem, że mam temperaturę. Zastrzyk zrobił swoje. Było już szaro, gdy w połowie drogi mijalem bazę. Na wieczór znowu mróz. Poobmarzałem jak bałwan. Wszystko, co było mokre, zamarzło na kość. Duże utrudnienie w poruszaniu się. Szedłem jak w transie. Przecież nie mogę tu zginąć. Przecież jedziemy do Polski. Szedłem i modliłem się, ledwie doszedłem. W domu musieli rozebrać mnie i wsadzić na piec. Sam nie mogłem. Gdy wlażem, to do odjazdu już nie zlażem. Ciężko zachorowałem. Na razie nie wiadomo, co mi jest, ale choroba dość szybko wyklarowała się. Malaria. Tam dawali zastrzyki jedną igłą. Słaby organizm nie zwalczył wszczepionej choroby. Bardzo nie dobrze. Czekamy, może choroba ustąpi. Mowy nie ma, coraz bardziej trzęsie. Leżę osłabiony. Strach mówić komukolwiek, że jestem chory, bo przecież odjazd. O rozłączeniu, pozostaniu w szpitalu nie ma mowy. Ja muszę jechać! Tak dotrwałem do dnia wyjazdu. Jeden dzień chory, drugi słaby. Trzęsko mną co drugi dzień. Rano dwudziestego siódmego wyjazd. Dali sanie ze skrzynią i sianem, pożyczili kożuchy, owinęli dzieci i w drogę. Mnie wypadł dzień choroby. Trzęsko mną, zwaracałem, mdlałem, niewiele pamiętam z pożegnań. Jedziemy do rejonu, nie po őródze, ale mają dać prowiant. Przyjeżdżamy, mama idzie do sekretarza rejkomu. A jakże, bardzo ładnie mówił, pożegnał, dał rozpisę na dużo prowiantu. Bądź, co bądź sześć osób i droga daleka. Pobierzeni po drodze w Katuńsku. Przyjeżdżamy do Katuńska a tu nie ma magazyniera. Okazało się, że chleba niet, masła niet, miasa niet i tak nie dostaliśmy nic. Straszna i perfidna bezczelność. Nie było mowy o szukaniu prawdy, czas naglił. DO Bijska jeszcze bardzo daleko. Dejechalismy wieczorem. W dużej świetlicy, w kątku dostaliśmy miejsce na podłodze. Nazajutrz Mama wszczęła alarm, że niemamy nic na drogę.

Jesteśmy coraz bardziej niespokojni. Jestem chory. Gdy dowiedzą się, to przypadek. Zabiorą do szpitala, rozdziela, albo wogóle nie pozwolą jechać. Tyle tęsknoty, tyle modlitw, płaczu i teraz takie nieszczęście. Liczymy jednak na to, że uda się, że przechytzymy wszystkich. Ale to nie jest takie łatwe. Zarządzili kaźnię. W kaźnię dezynfekcja. Dezynfekowali za pomocą pary. Ludzie wynędziali, poddani takiej operacji nie wytrzymywali. W pierwszym dniu były ofiary śmiertelne. Resztę ogarnęła panika, bo codziennie duża grupa szła do kaźni. Wykombinowaliśmy, że w kaźni na przeglądzie lekarskim nie będzie mnie. Nie mogłem być. Był podstawiony chłopak uproszony przez Mamę. Nie miała, zresztą, trudności bo ludzie byli życzliwi. Około półtora km od klubu była bocznica kolejowa. Tam mieli nas załadować. Tylko kiedy? Dla mnie dodatkowe zmartwienie. Jeżeli załadunek wypadnie podczas przerwy w chorobie, to dobrze, ale jeżeli to będzie dzień choroby? Co wtedy? Jak dojść? Tak mocno miotało mnie, że nie mogłem ustać na nogach. Strach myśleć. Dzień za dniem mija. Mama dostaje sporo prowiantu, maki, angielskich konserw, suchej kiełbasy. U jakichś ludzi napiętkła chlebków. Jesteśmy gotowi do odjazdu. Tylko żeby, na litość Boską, nie zkapali mnie z tą chorobą. Nic nie pomaga. Któregoś dnia wybrałem się na bocznice, żeby zobaczyć i przetrenować trasę. Nawet nieźle spisałem się, ale był dzień bez choroby. Załadunek wypadł na czwartego kwietnia. Moje urodziny. Gorzej, bo to dzień choroby. Wywożą, sprawdzają, a ja walczę ze sobą, z chorobą, ze skąbością. Muszę. Muszę. Muszę iść. Mietek z chłopcami i Mamą zrobili asekurację i ruszyliśmy. Pamiętam, na jednej kontroli poszło gładko, reszty nie pamiętam. Prowadzili mnie nieprzytomnego. Potem pamiętam, jak podsadzali i wpychali do wagonu. Obudziłem się na górnej przyczepie, szczęśliwy, że już po strachu. Następnego dnia, przed południem, odjazd. Nie pokazywałem się wcale. Tylko słyszałem płacz, krzyki i śpiewy. Straszne wzruszenie. Jedziemy. Zostało bardzo dużo ludzi. To ci, którym nie udało się udowodnić, że są Polakami, lub ci, co podpisali obywatelstwo radzieckie. Ludzie z pociągu widzieli rozpacz tych biedaków, ale nie mogli nic poradzić. Były wypadki rzucenia się pod pociąg. W Nowosybirsku kaźnia. Tu też obowiązkowa. Ludzie spanikowani. Udało mi się nie pójść. Natomiast bałem się o Mamę. Była przecież taka umęczona i skąba. Z Nowosybirska jedziemy na zachód, a to znaczy, że coraz bliżej Polski. Boże, jak bardzo tęsknimy i pragniemy być wreszcie w ojczyźnie. Jesteśmy bardzo biedni ale szczęśliwi. Niewiele rodzin wraca w komplecie. My wracamy całą rodziną. O Ojcu nie wiemy nic. Jak to stało się, że nie poginęliśmy, trudno opisać. Wie to tym najlepiej nasza Mama i chyba nasza nieodłączna orędowniczka Ostrobramska. Tyle modłów, tyle łez wylanych i tyle wiary, nie mogło być nie wysłuchane. Czasami na postojach wychodzę. Widzimy dużo kalekich, a to z odmrożenia, a to

z niedożywienia. Są to w większości moi rówieśnicy i młodsi. Czasami wydawało mi się, że nasza bieda wcale nie jest taka duża. Byli biedniejsi. Ale jakże szczęśliwi. Nie zapomnę chłopca, nie na wózku inwalidzkim nawet, tylko takim taborecie prymitywnie zrobionym ze starego wikdra podwieszzonego pod spodem. Siedział i śpiewał "Jeszcze Polska nie zginęła". Przy tym był tak brudny, tak biedny i tak radosny, że chciało się płakać. Tymczasem zbliżamy się do dawnej polskiej granicy. Smutno, prawie nie ma śladu, że była tam Polska. Pod Lwowem Wielkanoc. Choroba, może z wrażenia, jakby trochę ustąpiła. Dekorują nas wagon napisami i orłem z koroną. Podobna się wszystkim. Są to rysunki kredą. Wreszcie Lwów i Rawa Ruska. Koniec. Tu będziemy przeładowani do polskich wagonów. Trwa to parę dni. Widzimy wojsko polskie, widzimy transporty jeńców niemieckich przeładowywanych do ruskich wagonów. Są straszni, okropnie brudni. Nie widziałem dotąd Niemców, nie czuję krzywdy, jaką wyrządzili naszemu narodowi. Gdy widzę człowieka padającego z wycieńczenia, gdy widzę jak jest popychany kolbami i bagnietami, jestem wstrząśnięty. Przecież to jest okropne. Wreszcie widzimy bardzo dużo spalonych wagonów, kilka transportów kikutów po wagonach. Ludzie mówią, że to transporty spalone przez banderowców. Byli nawet tacy, co przyszli do naszych wagonów i grozili, że nas to czeka. Ludzie panikują. Tak blisko celu, ale jak tam dostać się. Wreszcie przeładowali. Ruszamy. Piękne, słoneczne popołudnie, zbliżamy się do nowej granicy. Wzruszenie osiąga szczyty. Wszyscy wyglądają przez otwarte okna i drzwi wagonów. Śpiewają, modlą się, płaczą. Tumult okropny. Widzimy polskich żołnierzy na koniach. Tak jakby asekurowali nas. Nie często przeżywa się w życiu takie chwile. I straszne i piękne. Pociąg jedzie przez małe wsie, przez lasy. Pod wieczór zatrzymuje się na boczniccy. W dali widać parę domków, las i dość duży plac. Ogłosili, że tu nocujemy. Ludzie porozkazyli się, cieszą się, całują ziemię. Mama poszła do domków żeby kupić coś do jedzenia. Miała jakieś pieniądze i nas pięcioro głodnych. Dostała bez pieniędzy małe wiaderko kartofli. Przepiękne. Polskie. Cieszymy się, obieramy, natychmiast rozpalamy ognisko i kartofelki już gotują się. Wąchamy. Niestety, nie doczekaliśmy kolacji. Po zachodzie słońca wyszli z lasu banderowcy i zaczęli ostrzeliwać pociąg. Zrobiła się okropna panika. Chwaliliśmy się, gdzie kto mógł. Ja wskoczyłem do wagonu i leżałem na podłodze. Słyszałem kule bijące o wagony. Trwało to chwilę. Zaraz potem słyszemy wojskowe komendy. To nasi żołnierze biegli na obstawę. Z repatriantów nikt nie zginął. Podobno zkapali paru banderowców. Uspokoili się więc nas szybko załadowali do wagonów i w drogę. Jechaliśmy całą noc. Słyszeliśmy głosy żołnierzy, Pociąg stawał, jechał, stawał. Rano byliśmy w Zamościu. Wtedy powiedziano nam, że było bardzo groźnie, że most był zaminiowany, że w strzelaninie zginęło kilku żołnierzy i że teraz nic nam nie grozi. Najgorsze za nami. † tak było. Spokojnie dojechał...

my do Łodzi. Potem dalej na południe na Ziemię Odzyskaną. Pierwszego maja, bardzo wczesnym rankiem, pociąg zatrzymał się we Wrocławiu. Nasz wagon stał na dworcu Nadodrże, akurat na wysokości ulicy Trzebnickiej. Tu dowiedzieliśmy się, że to już koniec naszej podróży. Zaczęliśmy nieśmiało wychodzić na ulice. Morze towarów. Tu po raz pierwszy zobaczyłem takie duże miasto i tramwaj. Jesteśmy przerażeni. Przecież to nie jest nasza ojczyzna. Co będzie? Jakie losy czekają nas. Nikt nie wie. Jesteśmy wynędzniali, zdzieciali do tego stopnia, że nie umiemy nawet myśleć po polsku. Co dzień opowiadają inne bajeczki. Wszystkie, że to tylko przejściowe, że na Boże Narodzenie będziemy na swoim. Mam siedemnaście lat, jestem okropnie rozdarty. Do tego jeszcze ciężko chory, bo malaria nie ustępuje. O ojcu nie wiemy nic. Zamieszkaliśmy w Złotnikach na przedmieściu Wrocławia. Bardzo piękne ogrody, sady, mają, tylko nie ma co jeść. Na okrągło gotujemy supę szczawiową. Dostaliśmy trochę prowiantu z PUR-u. Wszystko to nic dla tak zgłodniałej hłastry. Młodsze rodzeństwo zastanawia mnie, czy nie lepiej byłoby wracać na Sybir. Czasem było gorzej niż na Sybirze.

w międzyczasie pozbyłem się choroby. Lekarze nic nie mogli poradzić. Jedna pani, sędzia Sybiraczka, przygotowała miksturę /jajko, spirytus i chinina/, taki kogal-mogel. Kazała mi to wypić, ~~po paru dniach~~. Była tego pełna szklanka. Miałem to wypić w dniu choroby, w chwili, gdy zaczynało trząść. Tak też zrobiłem. Dawka była straszna bo po godzinie byłem nieprzytomny. Chyba cztery doby leżałem jak martwy. Bardzo niewiele pamiętam z tego. Majaczyła mi się wojna, pożary, gruzy. Wydawało mi się, że jestem przysypany. Byłem bardzo oskabiony gdy obudziłem się. Pomału, pomału nabrałem siły i malaria dała mi spokój do dzisiejszego dnia. Nie wróciła.

Mama załatwia dom dziecka. Czasowo oddaje całą czwórkę do domu dziecka, dokądś na Biskupin. Ja zostaję w domu. Żyjemy tak we dwoje. Trochę łatwiej. Mija lipiec, sierpień. Już cośkolwiek można zjeść z ogrodu, więc nie jest źle. Za torami jest jednostka wojskowa, nie polska. Każdego dnia i nocy żałają po osiedlu pijani żołnierze rosyjscy. Strzelają, wrzeszczą, gwakną. Ludzie są wystraszeni. My też. Któregoś dnia piszę list do Gdyni, do rodziny ojca. Nie znamy adresów. Piszę imię, nazwisko stryja i nazwę Gdynia. Nic więcej. I o dziwo, bardzo szybko dochodzi list do celu. Co prawda, nie do Teodora a do Józefa, także brata ojca. Wielka radość, wszyscy żyją i mają kontakt z ojcem. Przesyłają list, zdjęcia ojca z Włoch, gdzie był w tym czasie. Wysyłają wiadomość do ojca. Tak w dość krótkim czasie byliśmy wszyscy w listowym kontakcie. Za listami zaczęły przychodzić paczki i dopiero teraz trochę odżyliśmy. Był to wrzesień 1946 roku. Łoniec.

Każdego roku w miesiącach czerwcu i lipcu
jestem jakby trochę inny, bardziej nerwowy,
niepokonany i chyba bardziej zmęczony.
Co jest przyczyną? Może to tylko przypadek, może
jednak wspomnienia. A wspomnień jest sporo.
Bardzo często wracam myślami do czerwca
z roku 1941. Od lutego ~~byliśmy~~ ^{jestemy} sami. Bez
Ojca. Aresztowany został przez NKWD. Przed wojną
mieszkał w Krewie, a tu w pobliżu Nowych
Trok w mamy rodzinnych stronach rodzice kupili
ziemię. Całe moje dzieciństwo, wspominałem
właśnie z tych okolic. Tu rodzice spędzali
włopy, tu szał budowa, tu w przepięknym
miejscu wśród lasów, pól, łąk dorastaniem i
teraz zostawiliśmy Kiewo i zamieszkałszy na
swoim. Byliśmy bardzo przywiązani do
„gospodarki” to też kiedy jesienią 1939 roku
tu przyjeżdżaliśmy, byłem szczęśliwy. Tym
bardziej, że uciekliśmy przed Bolszewikami.
(Wilno i okolice Trok zajęli Litwini.)
Do jesieni 1940 roku było spokojnie, ale
kiedy jesienią 1940 roku Litwa została
republiką ~~radziecką~~, wtedy się zaczęło.
NKWD, przesłuchania, aresztowania i wywo-
żenia na sybir. W olbrzymiej większości
dotyczyło to Litwinów, ale Polaków też.
W czerwcu 1941 roku byliśmy już
za gospodarowaniem. Mieliśmy dojeżdżać

stadko owiec, parę świń, kury i fr. Ochodze-
niu do szkoły nie było mowy. Przy
gospodarstwie było sporo roboty. Na mnie
spadł obowiązek pastucha. Mama nie-
pokoiła się bardzo. Chodziła do Trok na
NKWD ^(potem) na Łukiszki do Wilna. ~~Żywiła~~ ^{Żywiła} się
nadzieję, że uda się wyzwolić ojca.

Wiosną Staranny się bardzo, żeby obsiać całą
~~gospodarstwo~~ ^{ziemię}, bo grozi odebraniem ziemi. Chodzą
słuchy, że coraz ~~częściej~~ ^{więcej polaków} wywożą na Sybir. Wiemy
że może to dotyczyć i nas. ~~Też~~. Niepokoiemy się,
ale też rozważamy możliwość ucieczki. ~~Las pod~~
~~łukiszki~~. Podwórko graniczy z lasem, a tam
dalej bagna. Uciekać jest gdzie. Tylko kiedy?
O świcie czternastego czerwca, zbudziło nas
mocne stukanie do drzwi. Zrywamy się.
Przerażenie. Myśleliśmy, że to już. Ale okazało
się, że ~~to~~ ^{jest} to znajomy rodzic. „Dzisiaj po-
was przyjadę” i „nie wolno nikomu mówić,
że ja tu byłem. Powiedziat i poszedł.”
~~do Trok~~. Przerażenie okropne. Płacz się
zrwał niesamowity. Nie wiadomo co
począć. Nie było jednak czasu na lamenty
treba się uspokoić i decydować.
~~Postanawiamy~~ ^{Postanawiamy}. Będziemy uciekać.
Ostre przygotowanie. Mama poprowadziła
Irenę i Katalinkę do sąsiadów aby
je tam przechować. Bez odzievczat

Tatwiej będzie. ~~dziękuję~~. Jest bardzo wcześnie. Mimo to wypędzam swoje stado w pole. Mietek ze Zdzichem w domu. Mają się mieć na baczności. Runo o wschodzie słońca jest jakoś dziwnie na polu. Nigdy tak wcześnie nie wypędzałem. Przeraziła cisza. Jestem tak jakby oszołomiony. Modlę się do Matki Boskiej Ostrobramskiej. Pięć. Szok jest olbrzymi. Niewiem czy w ogóle można to opisać. Stadko pasie się spokojnie. Na przeciwległym brzegu pola jest skarpa. Porośnięta jest drzewami. Ulubione miejsce zabaw. Na jednej z gałęzi młodego dęba wyryłem swój monogram i datę 14-VI-41. Nie mogłem sobie tego wyobrazić, że to ostatni raz, że już nigdy. Straszne. Ale wyraźnie to czułem. Co dzieje się ^{u takich chwilach} w sercu, tego też nie podejmuję się opisać. Nie piączę, tylko wycię. Do sąsiadów daleko, nikt nie słyszy. Nawet nie spostrzegłem, kiedy moje krowy ~~się napasty~~ ^{napasty się} ~~się napasty~~. Wcześniej więc spędziłem do domu. W domu rozpacz. Mama nie bardzo wie co robić. Zarobiła rozczyn na chleb, żeby u varie czego mieć na dworzę. Namoczyła bieliznę do prania. Robiła to chyba odruchowo, bo jeżeli dziś, to przecież nie miała szans

wypętniły się. Znak, że są dobrze
wjeżdżone. Wreszcie więc spędziłem
do domu, w domu już była mama.
Też nie bardzo wiedziata co robić,
zamieszała chleb, ~~to~~ ~~warze~~ czego
żeby mieć na obiad. Namoczyła
bielinę do prania. **Zrobiła to chyba**
~~bita~~ obtrudowo, bo jeżeli to ~~dis~~ ^{byłoby}
; przecież nie miała ~~szans~~ ani wyprać,
~~ty~~ ~~bardziej~~ ~~trysuszy~~ ~~ca~~ ~~prędko~~ ~~zrobić~~
~~to~~ ~~ob~~ ~~obiadu~~ i ~~trzeba~~ ~~było~~ ~~wyprze~~ ~~dzić~~
na pastwiszko. Obiada nie było, bo ~~Mama~~
nie ~~zabawa~~ ~~ale~~ ~~na~~ ~~drogę~~ ~~data~~ ~~mar~~ ~~do~~
~~kości~~ ~~pojde~~ ~~chleba~~ ~~z~~ ~~miastem~~ ~~→~~ ~~Cicho~~.
Kwace się bliżej domu, ~~każdy~~ ~~raz~~
kolo drogi prowadzącej z Trok. Droga
to polna ^{bieżąca} ~~z~~ ~~matym~~ ~~wg~~ ~~wozem~~, miejsce
mi dochodzący do jednego metra
głębokości. Nikt tą drogą nie jeździ
~~to~~ ~~też~~ ~~łatwo~~ ~~jest~~ ~~obserwować~~. ~~Widzę~~
~~dom~~ ~~-~~ ~~i~~ ~~widzę~~ ~~drogę~~. Skowy i owce pasą
się. Jest ~~trochę~~ ~~dludno~~, ale słonecznie
~~to~~ ~~doma~~ ~~natożylem~~ ~~ojca~~ ~~mundur~~ ~~policyjny~~
i buty z cholewami. Trochę trudno w tym
chodzić, ale jakiś daje radę. Chleb zjadłem
Słyszę: coś warczy. Naprawdę myślę, że na
opscinca za naszym polem w lesie jada
samochody, bo ~~to~~ ~~często~~ ~~widzielismy~~
jak wywarzili litwinów. Jednak warczem

3

wypiec, wysuszyć, albo upiec chleb. Po jakiejś chwili trzeba znowu wypęczyć na pastwisko. Na drogę ostatem dość dużą pajdę chleba z masłem.

nasila się. Nikt by nie przypuszczał, że na
taka polną drogę wjedzie samochód.
Wyprekwizatem raczej furmanki. Zdrętwiałem
więc - kiedy ~~z~~ za górki wyłonił się ~~samochód~~
~~ciężarówka~~. Jechał wolniutko, przechylony. **Nie mieścił**
się u nas widać. Stałem jak wryty patrząc
na to objawienie ~~po prostu~~ ~~głupia~~. Były
ciężarówki. ~~W~~ Zbliża się do mnie powolut-
ku, a ja stoję przez moment i nie wiem
co robić. Wreszcie dociera do mojej świadomo-
ści, że przecież to bolszewiki. Widzę
ich, jest ich na odkrytej pacy samochodu
co najmniej dziesięciu. ~~Ja~~ blisko, najwyżej
100-150 metrów. Widzę szlony (czepki zakon-
-czone szpikulcem, ~~z~~ szyte z materiału)
widzę gwardy czerwone, karabiny z ostrymi
baonetami. Mam szansę uciekać. Samochód
zwalnia, bo bardzo ciasno **u nas widać**. Jednym
drugim machnięciem nogami porzynam się
buktów i daję suse w kierunku domu.
Biegnę prostopadle do drogi, na której są
oni. Widzę zamieszanie na samochodzie
widzę jak wyskakują, ~~szepczą~~, krzyczą
"stoj!". Biegnę na przecięcie mi drogi.
Sądzę przed siebie ile sił w nogach, już
ich nie widzę, jestem ~~trochę~~ lepszy.
Słyszę okrzyki. Nie oglądam się, Coś ~~krzy~~
wpadam na podwórko. Są bardzo
blisko, Zaplątali się w furtce i to

pozwoliło nam na ucieczkę, bo jak wpa-
ółtem na podwórko to widzieliśmy
Mamę, Mietka i Zdzicha: ~~biegnący~~ ^{uciekający} do
lasu. Słyszeli mój wrask. ~~Biegłem~~ ^{Biegłem} prosto
za nimi, i ~~po chwili jesteśmy w lesie.~~
~~Podwórko nasze graniczy z lasem, więc~~
~~utwierdziłem~~ Biegniemy po krzakach jak
spłoszone sarny. Bolszeviki zatrzymali
się. ~~Do lasu nie poszli. Biali się chyba~~
~~My jesteśmy wystraszeni niesamowicie. Serca~~
~~walą jak młoty. Już jesteśmy w samym~~
~~lesie~~ Nic nie mówimy, ~~lecz~~ ^{Biegniemy} za mamę.
~~Wreszcie~~ Zatrzymujemy się i nastuchujemy.
Licho. ~~Jesteśmy w bezjecznej odległości.~~
~~Odpočunek.~~ Mama wyciąga ^z ~~z~~ zapasuchy
jakieś zdjęcia, ~~jakieś~~ papiery, odrywamy
opaski z mego munduru policyjnego i
zakopujemy pod krakiem. Idziemy ^{lasem}
dalej, na południowy zachód. Robimy
~~dalej~~ dość dłużej półkole i na drugim
końcu pola wytarzamy na górki, po
uprzednim zamaskowaniu się gałkami.
Widac jak na oltoni. Samochód stoi
na podwórku, ~~oni~~ chodzą, szukają.
Spuszcilo psa i poganiają do lasu.
Chcą chyba żeby ich prowadził, ~~za nami~~
Nalieryziliśmy ich jedenastu. ~~Wreszcie~~
Stoić zaczęto. Idziemy do Michniszek
do Ciotki Michniewicowej. Musimy znaleźć

jakieś schronienie na noc, ~~to~~ Noce
są dość chłodne. Wieczorem na północy
Mijamy las, gościnię. Droga, nie idzie-
my, ~~to~~ niebezpiecznie. Najbardziej jest-
my syci i silni, więc humory popia-
wiają się. Mama myśli swoje, ale
w naszych matych świadomościach
jakos nie mieści się ten ogrom
traagedji. ~~Całkiem~~ Później ~~to~~ przygo-
-dok. Parę kilometrów szybko przeszliśmy
i jesteśmy u Ciotki. Ciotka stawsz-
-ka w płaszczu, mama też, tylko
Paweł syn Ciotki zachowuje zimną
krew. Jest dorosłym młodym mężczy-
-zną. Zawsze podziwiałam go, ~~jest~~ moim
idealem. Zarządza, że nie możemy
i ~~tu~~ ~~tu~~ przebywać, ~~to~~ mogą sprawdzać.
Zaprowadził nas do swego przyjaciela
w tej samej wsi. Jest to kolonia
~~na górze usytuowana~~ ~~stąd~~ ~~widac~~ ~~nie~~
całą okolicę, ~~jak na dłoń~~.
Przychodzimy. ~~Jest~~ ^{Mama} schronienie. Dzieci
szybko spać, bo po takich przygodach
to się spi jak w miode. ^{Natomiast} ~~Mama~~, ~~to~~
~~masz~~ z Pawłem i Mietkiem idą
do naszego domu. Skradają się,
stwierdzisz, że ^{w domu} ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
dają. Zabierają, głoskę od maszyny do
szycia, jakieś drobne przedmioty, które

były potrzebne, biorą krowy, ~~jęta~~,
i idą ~~pod koniec~~ do Blakiewiczów zabie-
-rają. Halinkę i Jeneę i przed świtem
przychodzą z ~~zaporatence~~ ~~potrzebą~~
Musieli ~~z~~ spieszyć, bo czerwcowe noce
są krótkie. ~~Pod koniec~~ ~~wielki~~ ~~przypadek~~
ktoś jechał konno, uciekali do lasu,
pożubili się, ale ~~nie~~ dotarli szczę-
-śliwie. W ~~takiej~~ ~~sytuacji~~ Ciotek
boi się wszystkiego, tym bardziej, że wiedzie-
-liśmy, że sąsiedzi Parangowscy byli
bardzo zainteresowani naszym ~~wywie-~~
-zaniem. Białorusini, nie im nie groziło,
a kawałek ziemi mieć. Owidzielismy
Parangowskiego razem z bolszewikami
na podwórku. więc byliśmy pewni, że
bolszewiki mają przewodnika, który
wszystko o nas wie. Niebezpiecznie.
Budzimy się rano. Jest niedziela,
pogoda obłędna, słońce na czystym
błękitnym niebie. Gospodyni nas karmi.
Dorwali politykują i szukają wyjścia.
~~Zastanawiające~~ ~~że~~ 22 czerwca Hitler napadł
zdradziecko; ~~na bolszewików~~ ~~na~~ ~~10.11.~~
na siedem dni przed ~~napadem~~ ~~na~~
~~zapadł~~ ~~na~~ ~~wsie~~ zwykli ludzie. ~~już~~
wiedzieli, że za parę dni ~~byd~~ ~~pryjde~~
Niemcy ~~już~~ ~~jest~~ ~~potrzebne~~ ~~wywózka~~
na Sybir Niemcy wydawali się

być wybawicielami. Parę dni, ale jak
przebrać, i czy to wogóle prawda.
Skoro ułato się, uciec i skoro jeste-
-my w komplecie, decyzja jest jedna.
Trwać do końca. Gospodarz wyrył
dół na kartofle ~~murawie~~ ~~na podwór-
ku~~ powiedział, że w tym dole możemy
przebrać najlepsze. Z zewnątrz umiał
to zamaskować. Po śniadaniu ~~skłonił~~
^{ostrożnie} przeszliśmy do ~~tego~~ dołu.
Halinka z ^{Jreną} ~~Weronią~~ została w domu.
~~My~~ Siedzimy w dole <sup>(zimno jak licho
ciemno i ciasno)</sup>
jesteśmy przecież boso. ~~Wyciągnęliśmy~~ po
~~tych~~ dziurach między kamieniami.
~~Wieraliśmy~~. Gospodarz zagłębia, ~~do~~
~~dołu~~ ~~od czasu do czasu~~ i pociesza.
Musimy wytrwać. ~~Wieraliśmy~~. Ciasno, ciemno
~~i zimno~~. Przynoszą coś na obiad
i Siedzimy dalej. Modlimy się. Z wyprosto-
-waniem się są trudności. Wydaje mi
się, że ~~nie~~ ^{nocy} nie przeżyjemy, a co
tu mówić o paru dniach. Tym bardziej,
ze ^{wiadomość} ~~z~~ Niemcami może być bujola.
Bolszewiki nie sobie z tych plotek nie
robią, ^{naprawdę} ~~naprawdę~~ wyrosną. ~~Wieraliśmy~~ Albasowa
i Polaków i Litwinów. Co ~~to~~ będzie?
Pod wieczór dostajemy komunikat, że
u Ciotki Michiewiczowej są ~~Polacy~~ ~~ale~~
~~Polacy~~ Jest ^{z nimi} ~~z nimi~~ Parangowski,

on przecież ich prowadzi, Siedzący ~~to~~ i
czekamy, co będzie dalej. Do dziś nie
wiemy co było powodem, ^{że z domu Cioci} ~~z domu Cioci~~ od rana
skierowali się w naszą stronę, ~~at~~
~~z domu Cioci~~ Jądkę pod górę ~~przeto~~ do
nas. Przecież wieś duża. Przynajmniej
trafić ^{też} można ~~to~~ ale wydaje się, że
Ciotka ~~nie~~ ^{nieopóźnienie mogła} ~~nie~~ ^{dość} ~~nie~~ ^{powiedzieć}
Obrzymie stońce wisi nad horyzontem,
szykuje się do **zachodzenia**. ~~to~~
~~z domu Cioci~~. W czerwcu od rana do
zachodu słońca, jest dużo godzin,
to też byliśmy poskręcani ^{okropnie} ~~gdą~~ gospodarz
nas powyręcał ^{z domu} ~~z domu~~ "uciekajcie"
~~z domu~~". Leżymy przez moment na **ziemi**
oślepieni przez stońce. ~~to~~ Kiedy już
było widać jadących jak ~~na~~
chyba odwruchowo zrywamy się i **Bequien**
w kierunku żyta pod górę. Tam najbli-
ziej ~~jest~~ ^{do lasku}. Wśród ^{goniących} ~~nie~~ jeden jest
konno, jeden za nami. ~~to~~ Jak te
mate kaczątko za matką przeskaku-
jemy płot, ~~to~~ i za chwilę jesteśmy
w **kwadrach**. Bolszewik zatrzymał się **przed**
płotem ~~widziemy~~ ~~że~~ ~~niekt~~ ~~niekt~~
~~nie~~ ~~nie~~ Jesteśmy w miarę bezpieczni.
Za chwilę prerażenie, ~~to~~ ^{spostreśliśmy} ~~niekt~~
że nie ma stalinki. Zostate. ~~to~~
~~nie~~ **Niedobre**. Co robić? Stońce zaszło

pochtodniat, kamaig qyza. Idziemy
na pastwisko, ze gór. ~~Na~~ Dzierwynka
pasie krowy. Wtascicie juz pedzi do
domu. Mama ^{o ayms} ~~o ayms~~ zniq rozmawia.

Siedzimy i ciekamy. Placemy, i modlimy
sie. i ~~_____~~ Jesteśmy tak

zmordowani, ze zyc sie nie chce. Jest juz
ciemno. Przychodzi ~~ta~~ dzierwynka

i mowi, ~~jezeli~~ ~~jezeli~~ ~~jezeli~~ zabijemy.
przysli. Iść? nie iść? Nieświadomo komu

wierzę. Imczenie jest jednak silniejsze.
Idziemy. ~~Gospodare i gospodary~~ ~~placemy~~ Placemy

Mama tez, cos daja ~~_____~~ do jedzenia,
pije mleko i natychmiast u naszek ~~_____~~ ~~_____~~ ~~_____~~

wypiany ~~_____~~. My spimy, a Mama
i gospodare mysla, co zrobic zeby

wyzwolic stalinkę. Gospodyni zdecydowala
~~_____~~ iść. Nie daleko, moze kilometr drogi.

Poszła, Obudzitem sie. Uslyszalem tylko
"uciekajcie" i juz byłem: przed domem.

Zdricha i ~~_____~~ Mietka gospodarz
wyniosł w pospiechu z domu i

porzucal za płotem na ~~_____~~ skarpe.
Mnie tez kazal tam wtacic. Jest

Mama, jest Irka, jesteśmy wszyscy.
Slyszymy głos gospodyni, qtośno

perswaduje po rosyjsku, ze u niej
nikogo nie ma. Przechodzi bardzo

blisko nas. Siedzimy cicho, wyploszeni

niezadowolony. Okazało się, że tam

~~był jakiś~~ w domu przy dziecku

czekali na nas. ~~Wszystkie~~ Kto ~~ta~~

~~się~~ pokarali ^(się) aresztowali. Tak też zrobili
z ^{gospodynią} ~~ją~~ ~~co~~ ~~przyni~~

a jakiś młody człowiek przybiegł

pod dom, zapukał i powiedział, że

~~jeżeli~~ są uciekinierzy niech uciekają,

~~bo~~ zaraz tu będą bolszewicy, do ten

sposób zerwan^o że smu śmiertelnie

zmeceń i przestraszeni jesteśmy w środku

nocy ^(za nocem) na yskarpie ~~na górze~~ ~~podwórka~~

~~my~~ ~~dalej~~ ~~zamknąć~~ ~~się~~ Co robić?

Noc chłodna, komary trą bez litości.

~~to~~ Wiemy już, że ciężko będzie

wydostać Halinkę. Bardzo ją Kochamy

możemy nie^{ma}, żeby pozwolić na rozłąkę.

Najłatwiej ~~to~~ poddać się, Na to mamy

jeszcze czas. Decydujemy, że ^{idziemy}

do wujka Jana do Podworanc. Mamy

brat i mamy rodzinny dom. Bywalismy

tam na wakacjach, na litewskiej granicy

~~koło lasu~~ ~~Przejście~~. Droga idąc od

nas do Podworanc ^{jest} 7 km ale my

jestemy dalej i do tego droga nie

późniemy. Idziemy. Ta jedna czerwona

noc wyrzła tak wielki ślad w mojej

pamięci i psychice, że bardzo często

wracam myśleni o tego ^{koszmaru} ~~ostatnie~~

~~Tak~~ Chłodno. Pola, łąki, wosa,
jesteśmy zmoczeni do pasa. Zdrich
stabilnie, Molleje, ~~czymy go~~, Idziemy dalej
Znowu molleje, jesteśmy ~~to~~ jesteśmy
zmordowani do kresu sił. Komary tną.
Tylko, nocne ptaki ~~jakby~~ jakby nigdy nie
spie ^{halasują}, a żaby, rełoczą. **Niesamowita**
noc: ~~gdymy nie to, że to nasze by~~
~~tak~~ ~~opiekamy~~ ~~nożna by~~ ~~mówię~~ ~~że~~
~~całkowicie~~. Koncert ~~po~~ ~~z~~ ~~eg~~ ~~na~~ ~~l~~ ~~u~~ ~~n~~ ~~y~~ ~~d~~ ~~a~~ ~~j~~ ~~e~~ ~~l~~ ~~o~~ ~~p~~ ~~r~~ ~~y~~ ~~n~~ ~~o~~ ~~d~~ ~~a~~. W tej
noc ~~o~~ ~~z~~ ~~e~~ ~~g~~ ~~n~~ ~~a~~ ~~l~~ ~~i~~ ~~s~~ ~~m~~ ~~y~~ ~~n~~ ~~i~~ ~~s~~ ~~z~~ z ziemią rozzin-
-ną na zawsze. ~~Wtedy jeszcze~~. Nie wiedzie-
-liśmy, że są to ostatnie chwile. Byliśmy
zbyt mocno przestraszeni i umęczeni, ~~aby~~
~~nie~~ myśleć ~~o tym~~. Byliśmy tak
jakby w transie, albo w odętwieniu.
Podświadomie parliśmy do przodu. Nie
widząc żadnego wyjścia, nie poddajemy
się. Niedopuszczamy nawet takich myśli.
Zaczer ~~to~~ światła. Poniedziałek 16 czerwca
wychodzimy na drogę. Jakies domy,
jeriowo. Zbłądziliśmy. Nie możemy się
^{zorientować się}
~~gdzie~~ gdzie jesteśmy. Wreszcie ja
rozpoznaję, że przecież to Podworance.
Mama ~~tu~~ ~~tu~~ ^u ^{rodziła} ^{się} ^{tam} ^z ^{ty} ^{tu} wychowała
a tak była ~~skatowana~~ ^{skatowana} ^{rodzinnej} ^{ksi}
Na drugim końcu ~~to~~ mieszka Wujek Jan-
~~dzim~~. Skradamy się, ~~żeby~~ żeby
nikt nie widział. Budzimy. Piace

niezamowity. Wierojaj byli. ~~Wujek~~ Wujek
podepisat, że nie udzieli schronienia pod
groźbą wywiezienia na Sybir. ~~Wujek~~ Jest
rolnikiem ma szescioro dzieci, nawazie
go nie ruszaja. Zna okolice bezbłognie
Decyzja zapada, natychmiast: ~~Idziemy~~
Do lasu. Na litewskiej stronie w lesie
są stare schrony z pierwszej wojny. Jeden
wybieramy ~~wujek~~ na legowisko. Slicznie
zarosnięty krzakami, nad dużym jero-
nem, w środku ~~stare~~ ^{miejsce} ~~stare~~ na oquisko.
Tam ^{kiedyś} chodzitem ~~wujek~~ ^{z Włojkiem} ~~w noc~~ na raki.

Tutaj możemy siedzieć do zimy, jest
przynios. Siedzimy. Jest bardzo dobre
łowimy raki, mamy chleba mleko.

Do szczescia brakuje Stalinki. Ciocia Gienia
~~natychmiast~~ poszła po ~~stare~~ ^{nie} ~~nie~~
~~stare~~. My czekamy a Ciocia nie wraca.
W poniedzialek poszła. ~~Wtorek~~

~~Wtorek~~ dowiadujemy się, że jest areszto-
wana, i że jest postawione ultimatum:

albo się poddamy, albo Ciocia Gienia
z Stalinką ^{pojadą} na Sybir. Wujek płacze,
Mama płacze, my też. Prosimy Mamę
żeby się poddać. Mama podejmuje
decyzję. ~~idziemy~~. Chłopcy tj ja i Mietek

musimy zostać, a Mama z drobniarzem
chce się poddać, - niech wiozą. ~~Wtorek~~ Na
skutek naszego płaczu { ^{zmiana decyzji} ~~zmiana decyzji~~

~~Podobno~~ Poddajemy się wszyscy. Późnym
popołudniem ~~we wtorek 17 czerwca~~ Wujek
zaprzęga konia, wsiadamy i jedziemy.
Wiezie nas ~~konik~~ i płacze. Bardzo
dobry to człowiek, bardzo go kochamy.
Tym boleśniejsze ~~jest~~ podjęcie takiej decy-
zji. W Podworancach pożegnaliśmy się z
krewnymi, ze znajomymi, po drodze
zaszliśmy na cmentarz pożegnaliśmy groby
Babci i Dziadka (Mamy rodziców) i u-
drogę. Minęliśmy cmentarz, ~~na~~ słyszemy
już jakiś krzyk. Patrzymy, ~~ona~~ biecnie
Maniek, brat nasz ciocierny, rok starszy
od mnie. Piszę o nim celowo, gdyż po-
żegnanie z nim było wyjątkowo wstrząsające.
Chłopiec ~~ten~~ był tak spłakany, że doprowa-
dził nas wszystkich do wstrząsającego
płaczu. Pożegnaliśmy się. Dopiero po powro-
cie obwiedziatem się że właśnie on nie
przetrwał. Tam w Podworancach zmarł z głodu.
Dziwnie te losy układają się. Nikt nie
może tego przewidzieć. My jechaliśmy na
zagładę. Oni nas żegnali, optakiwali. My pre-
żyliśmy qekennę, ~~ona~~ żyjemy, oni zostali
złowatoby się, nie powinno nic tu się
stać, tymczasem zmarli z głodu. Ciocia
Hela (Mamy siostra) i Maniek ^(w 1949 roku) ~~moment~~
pożegnania z Mankiem, ~~ten~~ bardzo często
błąka się w moich myślach. Tak już

chyba musi być. Zapadła noc,
Siedem kilometrów jedziemy dośi stługo
Nie spieszymy się. Wreszcie wjeżdżamy
na podwórko. Wahałismy się gdzie jechać,
czy na gospodarke czy do Halinki.
Postanowilismy wstąpić do domu,
zabrać co się da a potem jechać
do Halinki wjeżdżamy. Obłąd. Powitanie
pieska. Blisko brzozy doby błękat się
koto domu. Na nasz widok pies szła-
-lat. Płaczemy strasznie. W domu
pusto. Wszystko potrzerane, poprera-
-cane. Chlew otwarty, świnię płaskie
jak deski. Chodźmy, oglądamy. Ule
~~zdeponowane~~ cane. Pobożowisko. Mama
z wujkiem poszła do Parangoskich,
my zostalimy w domu. Światła
nie ma, bo lampa stłuczona. Mniej-
-sze dzieci siedzą w domu, a my
z Mietkiem już coś staramy się
zarządzić. W ogrodzie miałem
własną grządke, na której prowadzilem
swoją uprawę. Pobiegłem zobaczyć.
Dośi ciemno, musiałem ogłodać na
kolanach. Roślinki takie jakies
wilgotne od rosy, jedine, pięknie
podrosły. Zyczałem się moeno ~~na~~
~~tejk~~ ~~grądziech~~. Zresztą nie bardzo
już starca sit do płacra. Czuje

okropny żal. Okropny ucisk w pierśiach
chyba ~~przebiega~~. pęknie serce. Wracam
do domu, jestem małą chwiełą, a
nagle słyszymy ^{kryk} "wuk! w wierch!" wpadają
bolszewiki, stawiają nas "pod ścianką".
My w kryk. Prerażenie. Lampka, jaką
zmairowaliśmy; zgasła. Niewiemy co
z Mamą, Twa to tylko chwila bo oto
słyszemy na dworze głosy ~~krzyku~~. Chwała
Bogu, jesteśmy razem. Bolszewiki rewidu-
ją nas skrupulatnie. Część ich jest
tutaj a reszta w Michniżkach przy
aresztowanej Cioci Gieni i Halince.
Pertraktują z Mamą i Wujkiem wresz-
cie decydują. Jedziemy furmanką
do Michniżek. Tam zwalniamy Ciocię,
zabieramy Halinkę i wiozq ~~do~~
do Nowych Trok. Jest środek po poł-
-dniu. W Trokach chyba nocujemy
dokładnie już nie pamiętam. ~~W czwartek~~
~~nie~~ W czwartek 19 czerwca rano
już jesteśmy w pociągu, na stacji
w Lenińsk. Żegnaj ziemio rodzinna
żegnajcie bliscy, żegnajcie znajomi.
Żegnaj wreszcie ojczyzna. Cytatem
kiedyś o zesłanych na sybir, ożiś
i ja jestem zesłańcem. ~~Okropne!~~
Mam dwanaście lat i już tyle cierpienia.

Jedziemy już trochę dalej. Zamknięci
jestymy na okrągło. W wagonie 100k.
Ludzie spanikowani do ostatka. Sami
ditwini. My jesteśmy ^{jedną polską rodziną} ~~jedną rodziną~~. Waga
-gon bydlęcy. Na śródku zrobiona
dziura, do dziury wstawione takie coś
w kształcie lejka. ~~jest~~ **jest** to ustęp, który
oblegany jest, bez chwili przerwy.

~~Ludzie~~ dostaliśmy, miejsce na dole ~~do~~

~~(na zrobione progi po obu stronach ^{wagonu})~~

po przeciwnej stronie ~~do~~ drzwi, ~~na~~
na lewej ~~stronie~~. Po czterodniowej podróży
byliśmy zmordowani bardzo, to też
wiarowy stukot wagonu ~~dość~~ szybko
uśpił co starszych, w tym też i mnie.

~~Stąd~~ ~~mało~~ ~~panje~~ ~~tam~~ ~~zapierw~~ ~~szczę~~ ~~dni~~
podróży. ~~Przez~~ ~~trzy~~ ~~doby~~ ~~nikt~~ ~~w~~ ~~ogóle~~
~~nie~~ ~~zajął~~ ~~do~~ ~~wagonu~~. ~~Jechaliśmy~~ ~~bez~~

wody, bez jedzenia, bez jakiegokolwiek
opieki. ~~Ludzie~~ ~~plakali~~, ~~modlili~~ ~~się~~,
~~zabawiali~~ ~~potrzeby~~ ~~fizjologiczne~~,

~~zabawiali~~ ~~potrzeby~~ ~~fizjologiczne~~,
~~zabawiali~~ ~~potrzeby~~ ~~fizjologiczne~~. ~~Wszystko~~
działo się w ciemności i w strasznej
duchocie. ~~Wszystko~~ ~~działo~~ ~~się~~ ~~w~~ ~~ciemności~~ ~~i~~ ~~w~~ ~~strasznej~~ ~~duchocie~~.

~~Wszystko~~ ~~działo~~ ~~się~~ ~~w~~ ~~ciemności~~ ~~i~~ ~~w~~ ~~strasznej~~ ~~duchocie~~.
~~Wszystko~~ ~~działo~~ ~~się~~ ~~w~~ ~~ciemności~~ ~~i~~ ~~w~~ ~~strasznej~~ ~~duchocie~~.
~~Wszystko~~ ~~działo~~ ~~się~~ ~~w~~ ~~ciemności~~ ~~i~~ ~~w~~ ~~strasznej~~ ~~duchocie~~.
~~Wszystko~~ ~~działo~~ ~~się~~ ~~w~~ ~~ciemności~~ ~~i~~ ~~w~~ ~~strasznej~~ ~~duchocie~~.
~~Wszystko~~ ~~działo~~ ~~się~~ ~~w~~ ~~ciemności~~ ~~i~~ ~~w~~ ~~strasznej~~ ~~duchocie~~.

Wspólnie z Mietkiem wycinamy
w scianie wagonu otwór podobny
do wlotu dla pszczoł, ~~inaczej~~ trochę
większy. ^{Dziś widać} ~~patrzmy~~ leżymy i
patrzmy. ^{Kiedy chce zerknąć} ~~patrzmy~~ kolejka, ~~patrzmy~~
~~do otworu jednak nie możemy~~, state
wyglądanie spowodowało, że deski się
wybrudziły, wyswiechtaly, ~~nie~~
~~ogólnie~~ w ogóle nie widać, ^{otworu} ~~nie~~
~~ogólnie~~ jedyne okno na świat. Litwin
też przychodzi popatrzeć. Powodzenie
prawie jak przy ustępie, bo tam
kolejka dzień i noc. Chyba ezwartego
dnia w nocy pociąg zatrzymał się.
Otworzyli. Dali wodę. Zrobili rewizję.
Długo spisywali. ~~Patrzmy~~. Zabrali
mężczyzn, zabrali chorych i martwych.
pozwolili kreszcie na otworenie okien
i pozwolili na niedomknięcie drzwi.
Jest lepiej bo luźniej, ~~z~~ jest woda
i powietrze, a gorzej, bo rozżarzone
rodziny lamentują okropnie. My
rozżkę z ojciem przżyliśmy ~~cztery~~
miesiące temu, oni dzisiaj. ~~Patrzmy~~
dalej. Niwiele w otworze naszym widać.
Wjeżdżamy ~~do~~ do jakiegoś
miasta. Ktoś ~~od~~ odrytuje: Tula.
Pociąg zatrzymuje się przy bardzo
długim pomostie, ~~jest to~~ podobnym

do peronu, z tym, że jest bardzo
długi i ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~.
~~bardzo~~ ~~piętny~~ ~~porządnie~~ ~~niekiedy~~
~~jest~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~
dnia, ~~niekiedy~~ Wypuszcili wszystkich z wago-
-nów na ~~niekiedy~~ pomost. Pociąg jest nie-
-skończenie długi, ~~niekiedy~~,
około sto wagonów. Dwie lokomotywy
jedna z przodu, ~~niekiedy~~ z tyłu. ~~niekiedy~~
Jesteśmy w pięćdziesiątych wagonie,
"Piedziestąt wtaraj wagon." ~~niekiedy~~

~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~. Na naszym wagonie
jest budka, (co dwa trzy wagony jest
~~wagon z budką~~ a w budkach sotały.

Na peronie ~~niekiedy~~ ^{mnogie} ludzie. Sami Litwini
~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ Jesteśmy ^{chyba} jedyną rodzi-
-ną polską w całym transporcie.
Dali wodę, żupę, jakiś ~~niekiedy~~ chleb.
Pierwszy: posiłek na gościnnej ziemi
radzieckiej! Ludzie są wszędzie: w wago-
-nach, pod wagonami, na pomostach
i pod pomostem. ~~niekiedy~~ ^{gdzie popadnie}

~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ zatawiają swoje potrze-
-by. Wygląda to okropnie, nikt nikogo
już się nie wstydzi. Wystarczyło parę
dni a jakże mocno ci ludzie są
skotowani. Stałmy parę godzin.

~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~
~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~
~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~ ~~niekiedy~~

dalszą drogę. ~~Można~~^{Można} już być obrócić
okna ~~z~~^{wieglomkniste} ~~z~~ drzwi. Któregoś dnia
widzimy samoloty i bombardowanie,
jednak tym razem nikt nie mówi o
wojnie. Myślimy, że ~~to~~ to jakieś ćwicze-
nia. Zresztą mężczyźni już nie ma a
kobiety, dzieci i starcy, ~~o tego~~
~~okropnie zagrożone~~, nie ^{potrafią} myśleć
logicznie. ~~Nie dajemy~~, Jest bardzo
ile. Dopelnieniem ~~obrotu~~ ^{jest} woda,
którą dali ~~do~~ do 'picia' i ~~która~~ ^{która}
~~jakis bardzo nie czysta~~, ~~gdyż~~ spowodowa-
ła masowe zatrucia. Teraz ~~to~~ dostanie
się do wagonowego ustępu jest prawie że
niemożliwa. ~~to~~ Jest zastonięty kocami.
Troszkę przyzwyczaj, ale za to dłużej
siedzą. Każde zatrzymanie się pociągu
powoduje, że wyskakuje mnóstwo ludzi
aby się zatubić. Robią to wszędzie.
Ziemia radziecka w tych czasach była
okropnie osrana, nie tylko zresztą przez
wyprowadzonych. Przekonałismy się o tym
na miejscu, tam na sybirze, ale
o tym opowiem w dalszej kolejności.
~~Najgorzej~~ ^{nas też} Zatrucie ~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~dotyczy~~ to Najbardziej Szalinke. Zatruta
się śmiertelnie. Nie możemy ~~się~~ doprosić
się lekarza. Dziecko konające, my przeważeni,
pomocy żadnej. Na małym postoju

prosimy sōdata w budce o pomoc.
Sōdat nadaje: „W przedział wtajem-
wagone rebionok pamierajet” Telefon
na zasadzie: „podaj dalej.” Słyszemy
jak ~~podaję~~ od budki do budki. ~~W przedzi-~~
~~siat wtajem~~ - i to, aż do ucieknięcia
~~W chwili~~ - słyszemy ~~z daleka~~ waczajęca
odpowiedź. ~~Jest~~ „Chuj z nim
puskaj pamierajet, drugiej budzie.” Cytuję
obstawiając ~~przez~~ ~~się~~ ~~wybaczyć~~. Po jakimś
jakimś czasie ~~jak~~ przychodzi lekarz,
z sanitariuszem. Nie ogląda, nie bada
tylko ~~choce~~ ~~zabrać~~ dziecko do szpitala.
Wyg. w placz. Mama ~~dziecka nie daje~~ ~~decyduje~~
~~o~~ ~~stopy~~ ~~dziecka~~ ~~żyje~~ musi zostać
przy nas. ~~Jest~~ ~~umrze~~, wtedy, ~~zabito~~,
oddamy, ~~zabijają~~. Zdezwadzał się
lekarz, ale dziecko nie zabrali. Chwała
Bogu. Litwini są Rzymsko katolikami
tak jak i my, to też modlimy się **wspólnie**
Mimo nieznajomości języka rozumieemy
się doskonale. Niektóre litwinki mówią
po polsku. problemów więc nie ma.
Modlimy się do Matki Boskiej Ostobram-
skiej, i wierzymy, że nas nie opuści.
Już tam w wagonie doznajemy
cudu. Tak wtedy rozumielismy fakt, że
dziecko, które oddaliśmy w opiekę
Przenajświętszej, ~~dziecko~~ konającej,

~~bez~~ bez leków, bez ~~opiek~~ opieki przetrzy-
maje kryzys i ^{dość} ~~przed~~ przedkro wraca do zdrowia
~~na~~ ~~szpitalu~~ ~~szpitalu~~. ~~Tam~~ Tamaczymy ~~się~~
na różne sposoby. Jesteśmy pewni, że
Przenajświętsza ~~Panna~~ ^{crwa nad nami} nigdy nas nie
opusci. Także bardzo ważna jest w
takich sytuacjach wiara. ~~Tam~~

Mijamy Ural. ~~W~~ ~~górach~~ ~~nie~~ ~~ma~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~
~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~
widać małe
kie chatynki wosnięte w ziemię. Dzwia-
nas stare wiadry na kominach, zakłada-
ne bez dna w celu przedłużenia kominu.
~~W~~ ~~górach~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~ ~~nie~~ ~~gdzie~~
^{Prawie nigdzie kominy nie dymią}
ludzi nie widac. Tracimy wachube, Nielito-
re Litwinki notują, robią zapiski, pamiętni-
ki. My nie. Szkoda. Zresztą nawet
opdybysmy ^{cośkolwiek} ~~pisali~~ ~~cośkolwiek~~, to nie
mielismy szans przechowania. ~~W~~

Nie mamy ani papieru ani otwórka a i
z pisanem kłopoty, bo mieliśmy ^{z niekimi} skon-
czone w 39 r. cztery klasy szkoły powszech-
nej w Kiewie, a Mama o to nie
miała wtedy słowy, ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~
~~nie~~ ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~. Rok czterdziesty
i czterdziesty pierwszy do szkoły nie
chodziliśmy. Dwa lata zrobily swoje.
~~nie~~ ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~ ~~nie~~ ~~miała~~

Ktoregoś dnia stalinka już dość zdrowa
na postoju bawiła się koto ^{naszego}
okienka, Wsadziła wężerkę i ~~na~~ ~~jakimś~~ ~~czasie~~

^{roczki} nie może, wyciągając. ~~Przechodzimy~~ ~~Przechodzimy~~ za wa-
-nem Bolszewiki, jeden trzyma za rączkę
i coś rozmawiają. Za chwilę są w wa-
-gonie. ~~Przechodzimy~~ ~~Przechodzimy~~

Nie przypniemy się. Jest trochę ~~idenerwowani~~
~~obiecują~~ ^{mówią}, że przyjdą z barbosem. ~~Posti~~.

Trzęsiemy się ze strachu. Scyroyki podło-
-walismy. Litwinki ~~obiecują~~ ^{obiecują}, że nie zdradzą.

Wieczorem przychodzi oficer i parę innych
oglądają. Wszyscy mówią, że ~~otwór był~~,
myśla, że ~~ten oficer to barbos~~, tak go nazywają.

Jest trochę śmiesznie, ~~barbos to pies~~
~~barbos to pies~~

Oficeri mówią, że on nie jest
barbosem, że barbos to pies milicyjny.

Dają spokój z dochodzeniem. Psa nie
przynowadzili. Otwór zabili deską i duży

mi gwardzianin. Poszli ~~przez~~. Chwała
Bożu. ~~Przechodzimy~~ ^{Przechodzimy} jedziemy. ~~Przechodzimy~~ ^{Przechodzimy} dają

trochę jeść i trochę wody. Równina, równina
równina. Miast nie pamiętam, zeszła

przez miasto przewożą nocami, albo tych
miast wcale nie ma. Wjeżdżamy wreszcie

do dużego miasta. Nowosybińsk. To jest
już bardzo daleko. Znowu kontrole,

verije i wreszcie Łaznia. Pędzą wszy-
-stkich partiami do błotyniej Łazni.

Tam nie tyle kopią co dezynfekują.
Robią to po rusku, parę. Ludzie

nie przyzwyczajeni do takich warunków

mdleją, kilka osób zmarło. Znowu panika.
Przewaliliśmy odczynfekcję, Jesteśmy u wąwozu
Jedziemy. Zdrwienie okropne. Jedziemy
z powrotem! Różnie ludzie komentują:
~~ich~~. Mówią, że wracamy do domu,
że Anglicy, że upominają nas o nas, itp.
Wiemy już, że ~~to~~ wojna, ale też nie wiadomo
głazie prawda. Są tacy, którzy poznają
teren, nie ulega wątpliwości. Wracamy.
Niestety. Wszystkie te spekulacje okazały
się złudne. Jedziemy do Nowosybirsk
na wschód, a z Nowosybirsk na południe,
nawet trochę ^{na} południowy zachód. Stąd
złudzenie. Nie wracamy, ^{Nie?} Jedziemy dalej.
Jest już lipiec. Wjeżdżamy do lasu
Niekonkretny się las. To już jest prawdziwa
tajga. Mijamy miasto leżące nad
potężną rzeką, to Barnaul, a potem
po paru dniach ~~też~~ dojeżdżamy
do miasta, (też nad rzeką) ~~też~~
~~też~~ Bijsk. Ostatnia stacja kolejo-
wa. Miasta nie widzimy. Stojemy w
lesie na jakiejś boernicy. Do miasta
jest osiem kilometrów. Wiemy już,
że to koniec ^{naszej} podróży. Wyraznie odczuwamy
zmianę klimatu. Jest słonecznie, ciepło,
ale powietrze jest bardzo czyste. Samo-
poczucie ~~bardzo~~ dobre. Jesteśmy
~~bardzo~~ skotowani, nie bardzo wiemy

gdzie jesteśmy. Wiemy tylko, że okrop-
-nie daleko. Probujemy ustalić kierunek
świata. Słuchamy zachodu, bo przecież
tam gdzieś jest nasza ojczyzna.
Jest ósmy lipiec, środa. Rozdzielają
taduję na samochody, rozwożą.
Nas akurat taduję na kilka funta-
-nek i wiozą ~~nie~~. ~~My~~ Umieemy
trochę rozmawiać po białorusku, więc
już wiemy coś nie coś. Wiemy, że
jedziemy do ~~nie~~ ^{Sonchoru}, że będziemy mieszkać
nad rzeką i że rzeka ta to ~~nie~~
Ob. Po paru kilometrach przyjeżdżamy
nad rzekę. Jest dość szeroka, pływie
głęboko w wąwozie. W lewą stronę
patrzę pod nogi, widzimy miasteczko
jakieś, ewentualnie fabryki i dużo, dużo
drewna, ludzie przygotowują do spławia-
nia. Zjeżdżamy w dół do wąwozu
podjazdem wykopanym i tam
taduję nas do barki. Jest nas około
sto pięćdziesiąt osób. Litwini wyłuszczy-
my też. Cieszymy się jednak, że to
już koniec podróży, że będziemy
mieszkać nad rzeką. Kupiliśmy
u jakichś chłopców za dwa ruble
wędkę, deszczynowy kij, żyłkę plecioną
z końskiego włosia, jakiś spławik i
naczyk. Myślimy, że ołoby to naby-

-ten, i że bardzo będzie przydatny.
Nie myliliśmy się. Znowu pacznie :
przygodą. Wsiadamy do barki, którą
przykrepiają na długim sznurze do
motorówki i płyniemy. Płyniemy w
prawo, w dół rzeki. Jestem zadowolony.
Duża woda, gęsta roślinność po obu
stronach i ten wqvóz robią wrażenie
niezwykłe. Widziałem już jeziora, lasy
i rzeki, zdawało mi się, że są ogromne
ale to co widzę tu, jest ponad wszystko.
Płyniemy około dwudziestu kilome-
trów. Wreszcie widzimy z lewej strony
długą rzekę, równie szeroką. Schodzą
się razem. Płyniemy rzeką Bija, a ta
druga to Katuni. Miejsce złączenia się
obu rzek, jest początkiem potężnej
rzeki, już tam na trzy kilometry szer-
kiej. Jest to OB. Skierujemy w lewo
i płyniemy na drugi brzeg Katuni.
Zakręt wystaszyl ludzi bardzo.
Prąd rzek jest dość duży, motorówka
zakręciła a barkę na długim holu
zawinęto tak mocno, że woda lala
się przez buty do środka. Widać
na wysokim brzegu małe chatki, widać
wiatrak wodociągki, widać wreszcie
ludzi stojących na brzegu. Jest ich
sporo. Podpłynamy do maleńkiej

przystaniu. Stoiące chyli się ku zachodowi. Fuomanki ciekają. Ładują ludzi ja z Mietkiem nie wsiadamy chcemy iść pieszo. Wiemy, że to niedziela. Pozwalają Idziemy obok fuomanek. Wódkę trochę wiozę ja, trochę Mietek. Ludzie patrz na nas jak na jakieś drwo. My z kolei patrzmy na nich też z dużym zaciekawieniem. Są inni. Prawie wszyscy boso, ~~nie~~ mocno opaleni; i bardzo biedni. Patrz jednak na nas nieufnie. Dopiero potem dowiedzieliśmy się ~~o nich~~, że mówiono im, że przyjadą tacy ludzie, którzy pili ludzką krew, i że zabroniono im kontaktowania się z nami. ~~Oni~~ Oni rozumieli to dostownie, ~~stąd~~ stąd ta nieufność. Paradujemy przez całą wieś. Chatynki bardzo drzwe. Parę domków budowanych z drewna, reszta to, bądź bawaki, bądź ziemianki. W centrum wsi jest ~~dom~~ domków więcej jest sklep tj. "Tawerka", biuro sovchozu "kantora", przedszkole, szkoła i izba chorzech. Najpiękniej z tego wszystkiego prezentuje się domek dyrektora

~~ra. Jest też stacja i zastawa
dyrektora, Główny i tj. dyrektora
właściwy, zawsze mam na myśli~~

~~dyskusyjny radziecki. Tam tak
było jest i będzie. Nawody radzieckie
są tymczasem na morze, tak mocno,
że z tym typem naszego stepu nie
dieszczęśliwy jest niemożliwy.~~

ludzie na całej trasie przejazdu
są jakby jednaki. ~~Wszystko to jest
takie~~. Mężczyźni już bardzo mało.

Nas oczywiście interesują również, kto-
-wych jest dość sporo. My jesteśmy biedni,
bo przez tę ucieczkę nic, nie mamy
do ubrania, ale oni są biedni super.
Wzajemnie duże. Co to będzie? Zauważalny
jest olbrzymi kontrast. Rozpadające się
ziemiarki i park, aleki, Stalin na
cokole, wreszcie klub. Olbrzymia sala
drewniana ze sceną, i mównicą,

~~Wszystko to jest tak, jak w klubie,
który jest w klubie, a wtedy w klubie~~

~~Wszystko to jest tak, jak w klubie,
który jest w klubie, a wtedy w klubie~~ Wytadowano nas
właśnie w tym klubie. Szybko zrobiło
się ciemno. Babym rozjście bardzo
ostrożnie zaczęły rozmawiać. Z Litwina-
-mi to się nie dogadają, ale z Polacz-
-ką domówić się łatwiej. Do rana to
my wiedzieliśmy o terenie dość dużo.
Nawet coś dali do jedzenia i kapiatok.
Kapiatok to woda gotowana, gorąca,
którą tam piją w każdym okoliczności

-ściach, tak jak u nas herbatę. Jereli
mają jakieś suchary albo coś suszonego
jak mięso ryba czy coś innego, to
jedzą popijając kapiatkami. ~~Wszystko~~

~~Wszystko nie ma ładnie, bo wazonij bardzo
wielki, ale jest jak stateczek w wodzie. Fala.~~

Wykotsani ~~więc~~ byliśmy bardzo, i kiedy
znalezliśmy się poza wagonem, usnęli-
my natychmiast. ~~***~~ ~~xxxxxxx~~

Rano oszłonił nas i krajobraz
i klimat, wszystko co tu widzimy jest
inne. Szczególnie krajobraz. Jesteśmy nad
brzegiem rzeki. Jeszcze katuni. Parę kro-
ków dalej zaczyna się Ob. Jesteśmy
w swochozie, który nazywa się "Wierch-
obskoj" Rzeko płynie w głębokim wąwo-
zie w kierunku północno zachodnim.
Jest bardzo szeroka, widać dokładnie
miejsce gdzie schodzi ~~nie z Bija~~ potem jest

Jeszcze wyspa, taka około 20 hektarowa

~~A~~ dalej ~~→~~ jedna potężna OB.
Patząc na południe widać kawałek
tak jakby płaskowyżu, to ziemia nasze-
go soschozu, potem teren trochę
się faluje, trochę zarasta kępami
brzoźowego lasu, a na horyzoncie
Białe pasmo gór Altajskich, z bardzo
wyraźnie wystającym najwyższym
szczytem Bielucha. Białe, ~~pasmo~~ gdzie

30

Momentanī zās ogārnā ~~zās~~ pīrācēnī, bō
stōice ēchodzī zē rēlīg. Tam jēt Polshā,
a rēlīg ^{takā} vīrēlīg.

leżą tam śniegi przez okrągły rok.
Po drugiej stronie rzeki też wąwoz;
a na wąwozie ściana lasu, to tajga.
Wszystko to wygląda imponująco.
Patrzę na to z zapartym tchem.
Momentami zapominam o tragedii
chwili. Tymczasem przyjeżdża ~~to~~
lekka bryczka, ~~mała powozik~~ sam
dyrektor sowchozu. ^{młody} Rosyjski mężczyzna,
rumiany, elegancko ubrany, zaskoczył
nas niesamowicie. Bo otóż pyta się gdzie
jest "Palaczka" znaczy Polka. Mama
się zgłasza, a on zaczyna rozmowę
piękną, czystą polszczyzną. Pyta ~~o~~
o Polskę, rozmawia, pociesza, głasze
nas po głowach i daje matym cukierki.
Radość niesamowita. Wierzymy, że to
chyba jakiś cud. ~~Ja~~ Byliśmy bardzo
głodni polskiego słowa. Chyba znowu
Ostrobrianska zsyła nam tego cztowie-
ka. Jesteśmy pewni że tak. Modlimy się.
Dowiadujemy się, że jest Polakiem. Inży-
-nierem rolnikiem, który coś przekrobiał w
Polsce i uciekł do Rosji w roku ~~to~~
chyba trzydziestym piątym. Tu otrzymał
sowchoz, został dyrektorem, więcej, panem
życia i śmierci panu tysiący biedaków.
Sowchoz postawił na dość wysoki poziom
to też stał się bardzo ważnym i znanym

31

Zawartość worków jest przypadkowa, bo same
nie wiedzą co mają. Kiedyś przy rewizji rewidu-
-jacy znalazł w jednym worku albrymis
nożaniec. Wyciągnął, popoglądał i zawiesił babcie
żydowce na szty. Konsternacja straszna.
Zastanawiające, skąd w żydowskich bagażach
nożaniec.

ciowikiem w całym Altajskim Kraju
Tu dostal domek, ten luksusowy, tu
się ożenił z Rosjanką, mają piękną
córeczkę. Podobno jest bardzo groźny.
Ale my tego nie oderulismy, przecież
to Polak. Wierzymy, że nas wspomocie.
Tak też się i stało. Przy podziale **lokum**
~~nie~~ hitwinę dostali ziemianki, a
Polka i żydówka dostały domek dres-
nianny w środku wsi. Jest to mały
drewniany domek, który był do tej pory
mieszkaniem felererki, tylko dwie izby.
Żydówka z synkiem i babcią, pochodzą
z okolic Suwałk, babcia nawet mówi po
polsku, ale są żydami literackimi.
Mają bardzo dużo bagażu. Wszystko
popakowane w workach, może że trzydziści
worków. Dostali więc pokój ten większy
i lepszy, my ten gorszy, ale to nie
jest etc. Modlimy się. Dziękujemy
Przenajświętszej. Napewno czeka nad
nam. Ludzie tu są bardzo dobrzy
okazuje się, że są bardzo grubieni.
Są resztańcami z lat okudziestych z
różnych stron Rosji. Sami Rosjanie.
Tu przywieziono ich, tak jak nas
teras, tu osiedlili się, założyli rodzi-
ny i tu żyją. Starsze baby pamięć
tają dobre sprawy, modlą się.

To też jak się dowiedzieli, że my
wierzymy w Boga, bardzo przychylnie
odnoszą się. Robią to pokryjomu
bo „nie bzia”. Miedzi są dzicy.
Nie widzieli nigdy w życiu kiełbasy.
Bardzo chętnie rozmawiają. Pytają ~~o~~
o wszystko. Są ciekawi. W głównach
im się nie mieści, że gdzieś ludzie
żyją, jedzą do syta, nie mają
wzrów i t.p. Słuchają naszych opo-
wiadania jak baśni z tydzień i jednej
nocy. My chętnie opowiadamy.
Stale myślaniami jesteśmy przeciw w
domu, w Krewie, w Trokach czy Podwo-
rancach. Czy wrócimy Tam? Nikt na-
dzieja. Jeżeli nawet, to nie przedko.
Wiemy o tym. Wyczuwamy instynktownie.
Tymczasem Hitler bardzo przedko
jest już pod Moskwą. Mówi się nawet
o „japończykach” że uderzą. Babym modlą
się i proszą Boga, aby jak najprędzej
widzą w tym wyzwolenie i ratunek.
Przecież męczą się już ^{ponad} dwadzieścia
lat. Wierzą, że to koniec hegemonii
komunistów. Wygląda to co piszą na
nieprawdę. ~~W tym~~ w tym sowiezie i
w Białym, bo byłem tam często, ludzie
tak myślą. Tak kochali tę swoją
władzę radziecką. Może gdzieś indziej

było inaczej, tego nie wiem. Tylko partyj-
ni, a było ich kilku, byli inni.

Oni nie głodowali, ich reklamowano
od wojska, ~~oni~~ oni byli pewnymi
tak jak już pisałem życia i śmierci
biedaków. To też wierzyli w potęgę, której
wtedy nie było. Martwili się rozwojem
sytuacji. Byli ~~bez~~ **bezwzględni**. ~~stosunkami~~
~~do ludzi~~. Ludzie natomiast obojętni
w stosunku do wszystkiego co jest
kariernie. (państwowe). Patrzę tylko, aby
cośkolwiek ukraść. Kradną wszyscy,
ale ~~tylko~~ między sobą są solidarni.
Nikt nikogo nie oszuka, nie okradnie
i nie zdradzi. Szerególnie wydanie
kogoś uważane jest za bardzo cięż-
kie przestępstwo. Kiedyś chłopiec
taki trochę starszy od nas, ukradł
~~mój~~ scyzoryk. My trochę ~~starsi~~
mądrzejsi, natychmiast rozszyfrowa-
liśmy go i zmusiliśmy do oddania.
~~Wtedy~~. Oddał. Mama go
wystydziła, moralizując, że należy być
uczciwym i t.j. On natomiast bardzo
poważnie powiedział, że w sowieckim
sojuszu jak będziesz uczciwy to
zginiesz. Bardzo to nas zdziwiło,
ale w krótkim czasie przestało dawać

34

~~...~~

Dyrektor ma prawo dać lub wstrzymać
posiłki uczniom z chlebem. Tak bez powo-
du. Dość często korzysta z tego prawa

od nich

byliśmy tacy sami jak oni. Nawet
czasami ~~byliśmy~~ lepsi, bo mądrzejsi.
Zapamiętajtem te słowa i powtarzam
je często. Taka ludzka mądrość wynika-
jąca z biedy. Tam nikt nikomu
nie nie ratatwa, Albo jest „kрасny”
i ma, albo jest biedakiem i nie ma
nie. Chleb na kartki „Pajok”. Pracujący
dostaje pół kilograma a „uźdźwienie”
tj. niepracujący uprawniony do „Pajka”
otrzymuje dwieście gramów. Pracujący
otrzymuje dodatkowo dwa, trzy razy
dziennie zupę. Uźdźwienie nie do-
staje poza dwadzieścia gramami nie.
Jest przedniówek. Zupa jest tak obydna
że trudno ją ~~ją~~ wziąć do ust, jest
postna, bardzo rzadko okraszona
olejem. W większości zupa gotowa-
na ~~z~~ z kaszy jaglanej, ~~kartofli~~
~~z~~ „slizunu”. Jest to dziko rosną-
ca cebula. Pracujący dostaje pół
litra takiej zupy. Ludzie głodują,
są bardzo wynędzniali. Muszą jednak
zrobić normę, aby dostać ten posiłek.
~~Pół litra wody, dwa kawałki nieprzeżar-~~
nek proso, trudno znaleźć posiłkiem,
nie więcej nikt nie ma. Okropnie. Idzie-
my do pracy od razu w kofce.
Półtora litra tej zupki musi starczyć.

~~Bardzo~~ Często ~~nie~~ spotyka^{cie} się Polacy
bardzo nie lubią Ruskich. Myślę, że
w tym miejscu należy się sprosto-
-wanie. Otóż zupełnie co innego
Władza i ustój, a co innego ludzie.
Nie znam Urbeków i innych. Znam
Rosjan i o nich mogę powiedzieć,
że ~~sa~~ ~~to~~ ~~nie~~ ~~lubią~~ ~~nie~~ ~~wspariali~~. Dziś
chylę czoło przed tym narodem,
robię to z całą świadomością i
odpowiedzialnością. Poimno: zaka-
zów błędnych informacji, bardzo
wzrostła nawiązała z nami kontakt,
poinformowali, doradzali. Pomogli prze-
-wać. Zastanawiam się nieraz...
jakiemu cudowi zawdzięczać moją
ocalenie i powrót. Stwierdzam,
że pierwsze to Przenajświętsza z Ostryj
Bramy, a zaraz obok ludzie.
Właśnie prosci, biedni ludzie rosyj-
-scy. Biedni byli mieszanowicie. Żyli
w skrajnej nędzy, niezapominali
jednak o biedniejszych, wspominali.
My w pewnych momentach byliśmy naj-
-niebezpieczniejsi w całym socjalizmie, po
prośbie żadno z nas nie chodźto,
bo mieliśmy chyba jakąś dumę.
~~To~~ podobno się Rosjanom.

(37)

(Po latach, kiedy nadzieja na powrót do Polski
stała się rzeczywistością okazało się,
że nic lepszego nie można było zrobić.
Wszyscy, którzy podpisali musieli zostać.
My byliśmy Polakami a tylko Polacy
mieli prawo do powrotu.)

Mimo znajomości u dyrektora, bo
z początku ~~był~~ był bardzo miły
trzymaliśmy z ludźmi a nie z wła-
-dzą. Bardzo drogo nas to koszo-
-wało. Pan dyrektor liczył na
to, że będzie miał z Polki konfi-
-denta. Koniecznie chciał żeby
Mama podpisała obywatelstwo ^{ważne} ~~ważne~~ ~~ważne~~ ~~ważne~~ ~~ważne~~ ~~ważne~~
obiecując dużo. Jednak Mama
bronita się ~~opierała~~ fanatycznie
nie podpisała i nie przystąpiła
do żadnej współpracy. Z miejsca
posypały się represje. Okazał
się wyjątkowym łotrem. Przesił
odrywać się po Polsku. We wszyst-
-kich sprawozdaniach podał naszą
rodzinę jako białorusinów. Zabronił
kontaktowania się ze światem.
Wyzwał z domu, nie daje nic innego
w zamian. Widzieli to ci biedni
Rosjanie, imponowało to im. U nich
jest takie moralne prawo, ~~że~~ ~~że~~ ~~że~~ ~~że~~ ~~że~~ ~~że~~ takich
sytuacjach jeden drugiego nie opu-
-ści. Nie opuszczali i nas. Pomaga-
-li, za co jestem im wdzięczny.
Pan dyrektor potrafił po nocach
wzywać Mamę, potrafił wstrzymać
chleb, robił co tylko jemu przyszło
na myśl, aby nam okwercić.

~~Wszystko~~ ~~to~~ ~~było~~ ~~o~~ ~~to~~ ~~że~~ sytuacja
nasza często ~~była~~ ^{była} bez wyjścia.
~~W~~ W pierwszym miesiącu pobytu
nie dostaliśmy chleba. Halinka ~~u~~
z wypięcenia podwórca i giodem
prestata chodzić. Miata trzeci ro-
-czek, więc była już w miarę mądra.
Kiedys bardzo nam dokuczyla, wola-
-jąc co ~~parę~~ ^{Chyba} minut takim cienutkim
głosikiem "Chlebka". My już trochę
nauczeni mówić po rosyjsku mówimy
że "gasudar" chlebka nie dał. Tak
u nich się mówiło i tak mówiliśmy
~~my~~. Oczywiście dziecko nie wiedziało
co to "gasudar" i dalej chlebka wo-
-tało. Było przecież giodne. ~~bardzo~~
Mama ~~umiała~~ ^{umiała} ~~na~~ ~~bez~~ ~~prze~~ ~~nie~~ ~~nie~~
~~stwierdziła~~ ~~że~~ ~~je~~
"Jak nie przestaniesz to manusia
pójdzie się utopić. ~~Przecko~~ ^{Przecko} ~~u~~ ~~ch~~ ~~to~~, ~~Halinka~~,
ale po paru godzinach spytała
Manusię czy "gasudar" dał chleb. Kiedy
usłyszała, że nie, zaśmiała się i stwier-
-dziła że ona chlebka nie chce, tylko
tak się spytała. Wtedy Mama dostała
żroku ~~na~~ ~~tego~~. Natychmiast podjęła
decyzję, ~~decyzję~~ ^{decyzję} ~~straszna~~; Ja z Mietkiem
musimy zostać, a Mama z matyni
dzieciolo weli. Znowu lament. Znowu

modlitwy i wreszcie uspokojenia.
Sytuacji takiej było sporo.
Pan dyrektor obawiał o to. Przy każ-
dym spotkaniu, obawiał. Wpierw
pytał ~~czy~~ czy się już mama
namyślała, a potem to pytał
wprost "kiedy ty wreszcie zdecydujesz"
Chciał się zaopiekować dziećmi,
Ludzie bali się go jak diabła,
Uciekali mu z ulogi. Mama nato-
miast zdobywała się na bunt.
Potrafiła czasem zdecydowanie
odpyskować. Porozeszato to i tak
ciężką sytuację. Niezawidził nas
a my jego. Po wygnaniu ~~z~~ z
domu, zamieszkałszy na chwilę u
Rospenki, ale tam było ciasno,
treba było ~~nie~~ szukać coś innego.
Żydówkę też ~~był~~ pan dyrektor
wyprowadził. Też liczył na jej współpra-
cę, też się preliczył. Znalazły więc
w baraku **wolny kąt**, który zajęli-
my wspólnie. Było to jedno pomie-
szczenie z piecem i z sienią.
Ciasno niesamowicie. Żydówka rozto-
żyła swoje worki, zajmując trzy ewa-
rte izby. Dla nas został tylko
piec. ~~Bar~~ Bardzo prędko lato się skon-
czyło. Leciutka jesień, imajdażma

nasza

Nie zdawaliśmy sprawy z tego co to
jest sybergijski zima. Byliśmy bez
odziecia, bez drewna, bez siekiery,
sanek i t.p. Żeby było jakto tak
ciepło, trzeba ~~było~~ spalić sporo drew-
-na dziennie. Trzeba ~~było~~ to zdobyć.
~~Chodzieliśmy~~ ~~jeżdżeliśmy~~ więc z Mietkiem na wys-
-pę z pożyczoną siekiere i saniami.
Raz dziennie ~~można było obrócić~~ ^{przepracowaliśmy saski drewno},
a na dzień spalaliśmy mniej więcej
taką porcję. Zapasów więc nie
mieliliśmy. Żydówka kombinowała po
żydowski, bo sama ~~po~~ na wyspę
nie mogła się dostać. To kupiła tro-
-chę drewna, to ukradła i tak jakos
trwała. Zresztą ona potrzebowała
drewno do gotowania a nie do
ogrzewania. Miała pełno różnych
beton, owijaty się i siedziaty na
kupie worków. Wyglądało to niesamo-
-wicie. My musieliśmy palić, bo mieli-
-my te dzieci głucho. ~~to też~~ ^{litze} główny
ciepły ogrzewania spoczywał na nas.
Jakkolwiek jest zimno, może wiedzieć
tylko ten kto znalazł się na wyspie
w śniegu, czasem powyżej uszu, owij-
-ty w szmaty. Ojizdaliśmy tam. Każdy
wyjazd przygotowywany był niezwykle
starannie, bo można było nie wrócić.

Ważne wydarzenia, których nie było w książce, były...

Ważne wydarzenia, których nie było w książce, były...

Ważne wydarzenia, których nie było w książce, były...

Ważne wydarzenia, których nie było w książce, były...

Ważne wydarzenia, których nie było w książce, były...

- w domu. Zajmowatemu się zaopatrze-
-niem domu w opał. Jedną zimą
chodzilem do szkoły. Skończyłem
~~czwartą~~ czwartą klasę. Najgorzej było
z ubianiem i obuwaniem. Latem
biegato się już nago i na bosy,
ale zimą chcąc wyjść z domu tre-
-ba było w coś się owinąć, a nie
było w co. Pierwszą zimą opał orga-
-nizowaliśmy z Mietkiem, ale na-
-stępne to organizowatemu sam.
Mietek pracował i zimą i lato.

Dzis często spreeczamy się, ~~on~~ Mietek
triedzi, że najciężej miał on, ja natomiast,
że ja. Uzasadniam to tym, że on
był o dwa lata starszy, więc silniej-
-szy. Wszystko co najlepsze do ubrania
miał on, i to jest ~~normalne~~ ^{normalne}, ~~ale~~
~~to~~ pracował. Ja natomiast miałem
~~nie~~ organizować jacieszmaty
żeby ~~nie~~ się porwijac i ~~stat~~
jechać bądź na wyspę, bądź na
drugą stronę rzeki. Piszę jechać,
a myślę iść z sankami, nazbierac
~~tan~~ drewna natomiast i przyciag-
-nąć do domu. W domu porzbać.
Musiało to być w miarę suche, żeby
mogło się palić. Piece były takie, że
za skarby mokre drewno nie ~~chciało~~

palital się. Banki ~~były~~ też zro-
bione były **ułasnoręcznie**. Byłem
przy tym młodszy od niego i słabszy
tatem też pracownikiem, towiłem ryby
plotłem koszyki, on natomiast lubił
być poza domem. Lubił też od nas
wymagać. Czasami jak nie było
mamy, był nieznośny i lekkomyślny.
Taki zresztą jest do dziś. Bardzo dobry
człowiek, ale i bardzo nieodpowie-
dzialny. Chodzi swoimi drogami.

~~Je~~ natomiast martwiłem się na
zapas. Bardzo pożyteczna w tej na-
szej mikro społeczności była Trena.
Zdzich był za mały żeby coś znaczyć
choć też **czasami pracował**. Pracował,
znaczy chodził do ^{pracy} państwowej. ~~Pracował~~

Jeżeli pracowaliśmy to tylko za chleb
i supę. Wynagrodzenie było tak małe
że rubel tak mało znaczył, że równało
się zero. Miesięcznie zarabiali się
najwyżej parę rubli, a kilo chleba
na czasnym rynku kosztowało nawet
trzysta rubli. Były też momenty, że
chleba nie kupiło się za żadną cenę.
Nikt nie chciał odsprzedać, bo każdy
przymierał z głodu. Kupić i sprzedać
najlepiej można było w Biju na
targu. Czasami można było również

~~Pod~~ ~~Pod~~ ~~Pod~~ ~~Pod~~ Podrózy ~~pod~~ na szlakie
 handlowym. Festiwal kulturalny
 gwarantujący i atrakcyjność i chiński;
 w Bizjaka prowadzą mnie szlaki
 handlowe do innych krajów. Są to
 drogi koczownicze, prowadzące
 przez góry Alpejskie.

1

związane.

wokół niego, ale to przy okazji i widać
 dłużej, pozostaje, dopiero było iść
 przez, ale to było trudniejszą sześc
 kilometrów i jedną stronę. W pewn
 sło ~~sie~~ do katowicki, sześć
 kilometrów i górę rzeki katowic.
 Tam przepływa promowa i dalsza
 jest dalsze kilometrowy do rzeki
 Byty i Bizjaka ~~to~~ do sze mie
 było wie. Szare i twardy pod ugrup-
 mych. Bizjaka jest miastem elozie
 drugim, rozciąga się po obu
 stronach rzeki ~~to~~ i to jest wspan
~~szlakiem, na~~ szlak i szlaki
 jakie od nas, sło się na wschód,
 a centrum miasta było za rzeką,
 Aluzjów i jego przedmieście przed
 Jerem ~~jak~~ jakos szlaku eksplorowa-
 my. Rzeko płynęła w góry. Kiel
 rzeką tak jakby płaszczyznę, na wie
 miasta, a ze miastem i do ce
 z szlakie ~~szlakie~~ szlak, tam
 następną ~~szlakie~~ szlakie, to jest
 -fu nie ~~szlakie~~ szlakie, to jest
 jakie są inne, to jest szlakie
 -to szlakie, szlakie szlakie i bardzo
 szlakie, szlakie, szlakie szlakie
 szlakie, szlakie, szlakie szlakie

Byłby co naradba przykutą ty przykutą edla
 olizei ~~nierogich~~, ale cieszcie się ty to tam wy-
 trzymacie. Dwie olizei wiekato, secege-
 mie listene i bialkato nig. Bardas
 kotem nig folego kosa. Miedlicie nig
 do usyptialis sinstieci e zolcnie Mianig,
 do tyllie do spawistintialci, ze bykiny
 i gremocice, iszece. Chwistka zlobo imie
 cege kowdas prapogit dypretko, emacyt
~~olizei~~, by oliz was olizei kos kaka siew
 olizei i spowog.

~~olizei~~ olizei kowzenie. Najnieksei
 jedwale kowzenie ziotita na mwie
 "baracholici" tiki tu nazypzali tary-
 -nistie. Tam bylo kowstke. Takie
 "ruskajka jarmajka" kowstke tam
 chodzie. Kowstke tam mowstko
 kiedy, miedzialen handlary, miedzialen
 ziolecij, inowalio i spierajogog. Zio-
 -koi. Kowstke ~~olizei~~ "bejmitowilic"
 do ty olizei nie walezoge do wlozgo,
 kowstke nig, tak mwie nigcej fide
 i was porawone psy. Dwie te so
 i roznyg miew, so obelolwie biedng
 kowstke na wawake pod wofam
 sukawogee okowoloi, mowogee kowstke.
 Kowstke nig bardas, ale olizei nie
 mowtem wiestety nie. Sam bytem
 gowdng i kowstke. ~~Kowstke~~ Kowstke
 Bijkke kowstke try olwi. Jeden olwi
 i jedng shong olwi ~~olizei~~ zlatatna
 nie, a kowstke ~~olizei~~ **owstke** **owstke**.
 Bardas olizei i kowstke olizei.
 Dwie owstke mial na set kowstke. ~~olizei~~
 Bylo olizei mowstke. Kowstke.
 Mij Boze, jeden mowstke olizei o
 kowstke i kowstke, kowstke, kowstke
 Tam tam kowstke spowstke i mowstke
 kowstke. Dwie kowstke olizei
 Dwie Biorowstke spierajogog wistke

~~olizei~~ olizei kowzenie. Najnieksei
 jedwale kowzenie ziotita na mwie
 "baracholici" tiki tu nazypzali tary-
 -nistie. Tam bylo kowstke. Takie
 "ruskajka jarmajka" kowstke tam
 chodzie. Kowstke tam mowstko
 kiedy, miedzialen handlary, miedzialen
 ziolecij, inowalio i spierajogog. Zio-
 -koi. Kowstke ~~olizei~~ "bejmitowilic"
 do ty olizei nie walezoge do wlozgo,
 kowstke nig, tak mwie nigcej fide
 i was porawone psy. Dwie te so
 i roznyg miew, so obelolwie biedng
 kowstke na wawake pod wofam
 sukawogee okowoloi, mowogee kowstke.
 Kowstke nig bardas, ale olizei nie
 mowtem wiestety nie. Sam bytem
 gowdng i kowstke. ~~Kowstke~~ Kowstke
 Bijkke kowstke try olwi. Jeden olwi
 i jedng shong olwi ~~olizei~~ zlatatna
 nie, a kowstke ~~olizei~~ **owstke** **owstke**.
 Bardas olizei i kowstke olizei.
 Dwie owstke mial na set kowstke. ~~olizei~~
 Bylo olizei mowstke. Kowstke.
 Mij Boze, jeden mowstke olizei o
 kowstke i kowstke, kowstke, kowstke
 Tam tam kowstke spowstke i mowstke
 kowstke. Dwie kowstke olizei
 Dwie Biorowstke spierajogog wistke

Leid dāstmedroņej
 šajol, štrovaņņaj arē
 mīe kalužē, pīasē Jēnora,
 na tyhe meane to byto, ze
 pīnehoobīe, to abo kaluži to
 ar vobdy to brodižo sīz

and so it is

and so it is

ballādy šale pīgromīnām Bīpīn
 taro, Tam stīpīšiem to vīzīstīo,
 po rāz pāraszj vīzīn, u byhoonām
 mērdomēgo mēzozjzjng. Opat na
 hāimoni ī spīešā, a mēlā: oīezēzj
 - ka spēerāla ēventuāle otklī ī
 byta, pīepredīkīem, Spīer pēro
 kēmīāi tēk, ~~īe~~ ^{zoloņēj} tēk bārdzo
 byl podobny do nāszēj bīedj, ze
 do dīs otklīzj pīšīēj stōkī nā vīspov-
 -mēnē ^{zīmīg} rēkī zāmarzēlī,
 do Bīpīn šlo ^{īgīzīz} to sāmā dīezgā,
 tyho mē pīomēm ī mē pīer mōst
 a loolem. Nāpīerēj byo vīoznā,
 ī Jēsēnā, kēotj rēkō zāmarzēlā
 abo kēotj looty to pīly mī gīvāto-
 vīnē, ^zostānē mī olo mīāktā
 byto nāzēt ī mīemōīlīnē, Bīpīn
 tēzj so pīeēbrodīzī rēkī po
 pīngūzēj kīzē z dēstjā ī vīkās,
 ale byto to bārdzo nībez pīezīnē.
 Pīerosej vīoznā Māmā pōstā olo
 Bīpīnā, a spīozotēm jūzī mīnīāla
 brodiē po kōdīzē ēzāsīmī ī vōdīzī
 do pāsā. ^{stīoīzīlā} tēk vīesāmōvīzīe
 umōstōnā ī umōdovānā, ze
 mēlo nīe umāīlā, ~~***~~ ***
 Pāmīstīēm kām, olo otklīzē pīerīszēzj

gwiazdkę. Przed wojną rodzice dbali
o to, aby święta były radosne.
Były choinki, były prezenty śródycere.
Była tradycja, którą kontynuuję
do dziś. Tymczasem jesteśmy, bez
ojca, bez ojczyzny, bez niczego.
Zbliżająca się wigilia, wywołuje
tylko wspomnienia i było bardzo
żal. ~~Wczoraj~~ Jest wieczór wigilijny.
Zydönka z babcią i synem siedzą
w swoich barłogach a my rozstawi-
liśmy maszynę do sżycia, na ma-
szynie trochę siana. Jakies suchary
kipiatok i jescere cos, dokladnie
nie pamietam. Opłatka mefina, są
życzenia, płacz, tęsknota i wspom-
nienia. ~~Wczoraj~~ Kolędy. Spiewamy
a i ~~barak~~ barak się trzęsie. do pierwszej dzień
święt to samo, siedzimy na piecu
i spiewamy ~~kolędy~~ jest wieczór.
~~Wczoraj~~ Otrierają się drzwi. Wchodzi
mężczyzna opatulony i aszromiony strasznie
„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”
Głos wydał mi się podobny do
głosu ojca. i Prer moment byłem
pewny, że to cud, że ojciec, że
żyje i że nas odnalazł. Miał
nie para bijelismy się skacząc z
nieca na powitanie. Piecier słyszy

my głoś polski po raz pierwszy
od przeszło pół roku. Okazało się,
że nie był to ojciec. Był to pan
Stutyński z Biłki, przedstawiciel
Związku Patriotów Polskich, który
jeździł po terenie i spisywał pola-
-ków. Już wtedy w grudniu czter-
-dziestego pierwszego roku Polacy
organizowali się. Skoro już wiedzą
że my istniejemy, to jest nikła na-
-drzeja, że przetrwamy. Nie jest tak źle,
~~stajemy~~ ^{HHH} Tymczasem przetrwalimy
pierwszą zimę. Było ciężko okropnie,
ale żyjemy. Wczesną wiosną bieremy
do roboty, do domu sieć rybackie.
Pracujemy we trójkę. Mama, Mietek i ja.
Nieraz to robota, tylko bardzo nudna.
Robi się ~~zima~~ ciepło, bardzo szybko
topią się śniegi i ~~zaczynają~~
~~dniami, albo nawet~~ po dwu tygod-
-niach rusza rzeka. Ludzie zostawia-
-ją pracę i biegną nad rzekę bo
jest to widok wisko niezwykły. Grubość lodu
dochodziła do dwóch metrów, ~~głębokości~~
Stoło nas rzeka tak jakby trochę
zakręcała, i tu na tym zakręcie
robiły się cuda. Ruszyło. Łódki
Tamie nie jak by to były drobne
okruszyny. Niesamowity huk.

Trzeba było kasztan uważyć, żelan nie umi-
-st. Prawdź weli kasztan sąpoki, a ni-
-zej są wój nie było już wiejsa
na przywiniżie do krasyn,

Na zakończie wójz się wstępy -
Turczy się obrygnie opióp kadziwe,
zmieniżajce się w leżolej chłibi.
Kudzie wójz wygłoz, są bez piezri.
Jeak taki + was jeleu, aldo i eluz
eluzi, profem feliżie wilek wleca jedu
owaz wniej, aż wieszcie wleca
wogóle. Płynie wstowiaast sporo
preziżnyż reży. Obrygnia woda
i lod zalicenajis sporo krasyn.

Płynięty faqumenty obomostu i olei
eluzo drena. Alto miał gotowz

Kodkz i was to płynięty na ty wielis
kudz na polowanie. Niebezpieczne to
było baido, ale olta felisz chlop-
-oz ⁱⁿbyła to przypadek wieszomostu.

Płynialismy z wialkiz, miał ledolis
on wiożomost, ja natowiaast byżew
nawigatoremu i kowez. Polpłynialismy
do plynieżego kżionona, wifaltem i
skozel i trzymajisze tanicuch heteria-

-lismy do do krasyn. Wieszcie troczkz
mę szapitelu. Wieszcie ryba. Wieszcie
wleca chłibi spyzialismy naed wolis
kownisze wa wędziż. Kateny ~~gorezo~~

~~tanisze~~ kow skalek kowala, ~~...~~
wieszcie! felisz wilekizowce pulowalek!

Wieszcie! felisz wilekizowce pulowalek!

podobne do węgierka, które się
zastawiało na ~~sz~~ wielką wodę i
łowiło się sporo mignasa. Narażie
wiesz nie mamy i nie umiemy
robić. Węże nie ma i ryby. Ale robie
wszystko, żeby podpatrzyło jak to się
robi. ~~Przynoszę~~ przynoszę wiklinę i
robię. Wychodzi to narażie obles-
nie, ale ~~z niematem i trupem~~ ^{z niematem i trupem} zrobotem wiesz tak
jak się należy. Jest jednak już
trochę za późno, woda oczyszcza się
i wtedy już ryba do tego nie
~~wchodzi~~ wchodzi. Niepikodzi w przyszłym
roku to już się postarano i przygo-
tuje nie jedną taką wiesz.

Pierwsze lato Mitek wozil wodę
do "kornary" a ja zrodziłem się
paść krowy ~~z krowy~~. Wiadły rzę-
bralałeli nataposiadanie, krowy, to też
co bardziej zasobni ~~trzymali~~ trzymali krowy.
W zimie czasami stala taka krowa pod gołym
niebem, a czasem ^{nalet} w łacie wspólnie
z ludźmi. Niektórzy oczyszczenie mieli
zależą obórkę. Latem pastro się krowy
z całej wsi. Robit to jeden oddele-
gowany człowiek. Tego lata akurat
ja dostąpiłem "taszczytu" opiekowa-
nia się stadem. Dobrze, bo jest
świeże mleko, ale praca ciężka

wyjatkowo. Teren postrziska to nad
rzeką trochę poniżej wsi takie około
pięćdziesiąt hektarów mokrańto,
zarosnięte bardzo gęsto krzakami
torowymi. Wiosną woda tam wyle-
wała, a latem porastało to bardzo
bujną roślinnością. Olbrzymie pokrzywy,
kraki czarnej porzeczki, zarosła nie-
samowite. Moje krowy jak tam wla-
zły to potem trudno je było porbie-
rać. Każdego dnia, bez względu na
pogodę wlatywały i ja w te zarosła.
8050. Noż ~~nie~~ były tak mocno popękanne
od rosy i pokrzywy, że żyć się
nie chciały. Do tego, byłem głodny
i słaby. Bardzo ciężko wspominać
to lato. Nie wytrzymałem. Zrezykowa-
łem, było to ponad moje siły.
Resztę lata nie pracowałem, zajmowa-
łem się domem ^{zawieszony} ~~zawieszony~~ ^{ryby} ~~ryby~~ ^{ryby} ~~ryby~~ ^{ryby}
z yodolski wy-
prowadziliśmy się. Zamieszkałismy
w Rosjenki w takim samym bara-
ku o sto metrów dalej. Przyjęta,
choć miała bardzo ciasno.
Na podłodze spaliliśmy, nas sześciu
z Mamą i ich czworo. W nocy
nie można było zrobić kroku. W dzień
miałem jak się wszystko porozcho-
dziło, to nie było tak źle.

W chacie suchej nitki, jesteśmy pre-
marzniczi mesznowicie. Te trzy
doby, dotyż ~~się~~ ^{się} ~~nam~~ tak mocno ~~we~~ ^{znaki},
że nie było chyba potem bardziej
tragicznych momentów, słoniec swia-
ta. ~~zima~~, ~~zima~~ ^{Pierwsza} zima, przeżyta na
cegielni było nie mniej tragiczna
Była to zima ^{lat} czterdzięci dwa na czterdzie-
ści trzy. Wyjątkowo zimna, a my w
~~z~~ premoconej ziemiance. Zanim
po deszczach przyszły mrozy, sciany
i okienko zamorzyły, że można było
jeździć na łyżwach. Tak było
aż do wiosny. Około szesciu mie-
sięcy. Co my tam przeżyliśmy? -
Niewiem jakimi słowami opowiadać.
Niekonwersy się koszar. Piec co parę
dni rozpadat się i bardzo słabo
grzał. Nie było nafty, dzieci gotę
i czasem ~~je~~ od wiecznego palenia
się kopciłku. Na ścianach lód.
Ja wzięm się, nie mogąc zastąpić
drewna na opał. Trochę kładnie, z
pustych ziemiaków, albo ~~#~~ wiat,
czasami udaje się ^{ukwasć} ~~skubnąć~~ parę
desek. Mama pracuje ~~na~~ ^{na} magazynie
przy zbożu, ziemniakach i grochu.
Czasami ~~antyle~~ ^{przynosi} ~~przynosi~~ trochę
grochu. Natychmiast gotujemy i

zjadamy. Trzymanie w domu takich
rzeczy jest bardzo niebezpieczne.

~~Całkowicie~~ Tarcia w praktyce
opóźni minimum pięcioletni latami
wzięcia. Trzeba się pilnować.

We wsi jest opór, bo opłowanie czegokol-
wiek trefnego, zdają się różniące
się zapachy. ~~Na~~ ~~Na~~ pustkowiu

pod tym względem jest lepiej, to-
też pozwalamy sobie na ryzyko. Wiemy

o tym, że im lepiej człowiek się od-
żywa jesienią i zimą, tym łatwiej
przeżywa przednówek. Kombinuujemy

drut stalowy, robimy sidła i kłusu-
jemy na zające. Nikt nie zabrania

~~klusownictwa~~ kłusownictwa. Można polować
jak tylko ktoś potrafi. Głównie, ~~jest~~

~~na~~ ~~na~~ ~~na~~ jest niewielka cześć. Bardzo
trudno o drut ^{na sidła} o amunicji, ~~na~~

~~nie~~ ~~nie~~ ~~nie~~ niewielka ^{można} (Drogi można ~~z~~
zdobyć ~~z~~ ~~z~~ wolno, posiadać.

Nie zabraniają. Nie jest łatwo zają-
ca oszukać i zaprosić w sidła, nie-

mniej udaje się od czasu do cza-
su stapać, ^{mięso} ~~z~~ zającem z groch-

em smakuje wysmienicie i trochę
stania nas na nogi. Zimą to tak

jakos wspominać. ^{Po chleb} ~~na~~ ~~na~~ trzeba było
codziennie chodzić, ~~do wsi~~ ~~do wsi~~. Często

chodzącym ja, czasem. Trka i czasem
Mama. Chlebka było po dwiesięciu ^{grau}
na osobę. Mama w tym czasie choro-
wała to ~~ter~~ dostawała chleb jako
"wzdrwienie". Nie wiele tego było,
i bardzo ciężko było to donieść
w całości do domu. Czasami wy-
starczyło wachanie, a czasem ~~mi~~ jak
ktoś był mocniej głodny to skubnet
war, drugi, a chlebka ubywało. ~~Bywało~~
~~że~~ Zdzich jadł cały przydział.
Mnie nie zdarzyło się coś takiego,
byłem starszy i bardziej **zdyscyplinowa-**
ny. ~~Oficiele gołej spawu anglo data~~
~~zapewniania.~~ Bardzo ciężko było
ogrzeć ziemiankę do przyzwoitej tem-
peratury. Jeszcze jak był ~~tyto~~ mroz,
to było zimno, ale nie tragicznie,
ale jak zaczęło wiać, ~~to~~ wtedy
było ^{strasznie} ~~gorzej niż tragicznie~~. Wtarliśmy
pod podłogę i tam spaliliśmy. Na kupę
~~to~~ jedno na drugim, żeby wianymi
ciętami nascajem się ogrzać. Ciemno,
ciasno i zimno. ~~Do~~ na kartofle, w
którym chowaliśmy się, uciekając
przed wyniezieniem, zdawał się
być luksusem. Szerury wodne wyle-
zily z nor i ter szukaly ciepła
o kąt. ~~Prebiegaly~~ czasem

się zawstydzit. Polekcyjach karat
zapisać się do kancelarii. Poszedłem
~~o~~ ~~on~~ ~~dat~~ mi talon na ubranie.
Jutro mam iść do katuiska i
pobrać w takim specjalnym sklepie.
Siedem kilometrów w jedną stronę,
wstaniem więc rano i poszedłem
Dostałem piękne ubranie, chyba
było to ubranie robocze dla młynar-
za albo piekacza, bo było białe.
Materiał bawełniany podobny do
drisiejszego dzinsu. Tylko białe
~~to dobre to~~. Radość niesamowit-
-ba. Waleę następnego dnia do szko-
-ły wystrojony w garnitur aż pienie-
-niący od białosci. W szkole zbie-
-gowisko, dzieci zarolroszera, wreszcie
awentura. Na jutro dowiaduję się,
że muszę ~~to~~ podzielić się. Był talon
tylko na jedno ubranie, a biedny
jest więcej. Muszę więc z czegoś
zrezygnować. Zrezygnowaniem cho-
-ciże szkoda było bardzo. Spodnie
oddatem koledze Rosjaninowi.
Narzwał się Bogomołow. Okaratu się,
że baby zrobiły kierownikowi awan-
-turę, że jak to, on zestaniec, a
ojcowie naszych dzieci i t.d. Argu-
-menty rzeczywiście nie do obalenia.

HHH

Na przedwiosniu ^{teraz} zaczętem gromadzić
wielką na wiersze. Teraz to muszą
zrobić ze zrobieniem chociaż kilku.
Trudno było bardzo, ale zrobiłem
aż sześć wierszy. Będzie ryba. Tylko
do reki jest dość daleko. W zimie
robiłem sanie i sanie, ^{stasznie} ~~je~~ się przy
tym namęczyliśmy, wspólnie z Mamą
i całą rodziną. Żadnych narzędzi,
tylko siekiera i jakieś tam drut.
Rosyjskie sanie są ciężkie. Plusy
należało wygiąć i to prawie że w
obwarunkach. Wygięcie brozy o średnicy
~~co powyżej~~ ~~niej~~ przedsięwzięciu milimetrów
wymagało dość dużo siły. Czasami
było to ponad nasze możliwości.
Módliliśmy, ale niestety nie wygina-
liśmy. Jedną się tamata, następną,
aż do skutku. Za takie sanie
można było dostać parę wiaderek
~~ziemniaków~~ ^{kartofli}. Wielkość tych sani była
pośrednia, między dużymi a małymi,
do zaprzęgnięcia krowy. Wiosną
wiosną, lody poszły, nawiązała nie pra-
cują. Chodzę do szkoły, stawiam
wiersze, z ryba jest różnie, poniżej
oczekiwania. Zastawiłem wiersze
dość daleko od wsi i od nas.

stali tam tylko moje i głównego
mechanika souchoru. On miał też
szczęście wiewsy. Przez jakiś czas ryba
tak jakby przestała wychodzić, co
przyjdę na przegląd, to nie ma
nie. Myślę sobie czy aby ten
mechanik mnie nie uprzedzi.
Proszę mamę o obudzenie, bardzo
wczesne. Idę, jeszcze ciemno.
Przylodzę nad wodę. Strasznie.
Woda szumi, ciemno, nikogo dookoła,
przeoglądam wszystkie wiewsy po kole
i moje i jego. Jest ryba, w wie-
których nawet po trzy tysięcy,
niektóre olbrzymie, prawie równe ze
mną. Jestem oszołomiony, działam
natychmiast, boję się bardzo, bo
taki bolszewik gdyby zapał to mógłby
nawet utopić. Rybę przeniosłem do
domu, radość wielka, a na jutro
już zostały tylko wiewsy moje, pan
mechanik przeniósł się w inne
miejsce. Jemu było łatwo, on jeździł
koniem. Stwierdziłem dnia zapałem ^{cravel}
jesiotra ^(steriothę) co było radkoscia, w tym
rejonie. Myślałem, że to złota
rybka. Wyglądał przepięknie w takim
złotym pancerzu. Kiedyś ~~zapałem~~ zapa-
łem szczerpaka olbrzymia. Woda

opadła, a on został w katury. Razem z kolegą Niemcem ledwo przynieśliśmy go do domu. ~~W~~ Do szkoły chodziłem na drugą zmianę od godz. 14 do 22⁰⁰ Godziny wiedzieliśmy, bo we wsi wybijali każdą godzinę, tak jak zegar. W zimie ~~zawsze~~ dostawałem od taty skórki starą teczkę skózaną, z teckki tej wykroilem kształty cholevek, z brzozy zrobilem podeszwy, i tak zrobilem sobie drewniaki. Bardzo trudno chodziło się w tym, ale ~~nie było wyboru~~ ^{nie było wyboru}. W każdym razie mam w czym chodzić. Z utęsknieniem oczekiwalem wiosny, już takiej naprawdę, żeby jak najprędzej można było chodzić bosą. Raz przygrzało słoneczko na tyle mocno, że nie wytrzymałem, zaryzykowałem, wybrałem się do szkoły bosą. ~~Bardzo~~ fajnie, ale nie przewidziałem, że wieczorem będzie zimno. Myślałem, że dam sobie radę, ~~jak~~ jak wyszedłem po lekcjach i zobaczyłem że dwadzieścia centymetrów śniegu, ~~to byłem zadowolony~~ ^{nie wiedziałem co poczęć oczywiście}. Dalem sobie radę, dobiegłem do domu na bosaka, nawet nie chorowałem. Ponad trzy kilometry bosą po śniegu, ~~momentami~~ myślałem, że nogi mi

odpadną. Mama co prawda wyszła
Zdzicha z drewniakami, ale ~~nie~~
~~wyjechała~~ nie spotkał się się.

Rok szkolny kończy się u nich dość
wczesnie, skończeniem czwartej klasy i na
leto trzeba ^{było} się rozjechać za pracę. Idę
na (Włocław) długi polny odcinek, tak to
broni w dostosnym tłumaczeniu i tam
zaczynam pracę. Pracownik ze mnie dość
lichy, jestem w ~~dziesiątym~~ ^{czternastym} roku życia,
w dokumentach mama pokreśliła, żeby im
byli młodszy, więc jestem w ~~dziesiątym~~ ^{jedenaście}
~~roku~~ ~~współnym~~ ~~dokumentach~~ i na tyle
wyglądam, ~~to~~ jestem bardzo młody
i słaby. To też nie dostaję żadnej
pracy samodzielnej, tylko pomagam
przy pracach polowych. Jest ciężko, kończy
się akurat akcja siewna i zaczynają
się siano kosy. Ludzie ~~nie~~ muszą się
bardzo spieszyć z pracami polowymi.
Trzeba ze wszystkim zdążyć, inaczej
nie wyrosnie i nie dojrzeje. Lat jest,
bardzo ciepłe, ale i bardzo krótkie.
Przez parę dni karamo mi zostać na
bazie do pomocy w kuchni. Musiałem
bardzo рано wstawać i iść z siekierą
do kraków, narząbać drewno i naważić
aby było do gotowania i na zapas

Do kajaków było w dół od brzoj ok 200 m
dość blisko, ale kajak tak gęsto poroś-
-nięcie trawą, że trudno było tam wejść.
Istna dżungla. Rano rosa i zimno,
A ja bosy. Nogi splekane okropnie.
~~Wstąpił narażony~~ Wchodzenie w zaro-
-śla było gorzej niż przykwe. Nie było ra-
-dy, trzeba było. Chodziłem po te drzewo
ponad tydzień, byłem bardzo słaby i wy-
-męczony. Rano jak się wlatiło w zarośla
to było okropnie zimno. Któregoś dnia
siekiere zesliznęła się i uderzyła
sobie w nogę. Była dość ostra, rozwa-
-liłem więc ~~sobie dość mocno~~
~~prawe~~ prawą stopę. Zrobiło mi się gorz-
-co. Szybko ranę obsikałem, bo? tak
tam robisz i oblepiłem ziemią. Potem
nie wiem co się stało, bo jak się obr-
-dziłem to słonce było już ~~tuż~~ wyso-
-ko, Zemdlałem i chyba usnąłem,
~~trwało~~ trwało to ze trzy godziny. Żadnego
leżca nie dostałem, rana ~~stała~~ prędko
się zgoiła. W tym czasie klepałem kosy
kobietom koszącym. To była praca wzglę-
-dnie dobra, ale trzeba było bardzo uważać
żeby ~~nie~~ jako tako wykłepać. Nigdy
tego nie robiłem podpatrzyłem i wychodziło.
Jedziłem koniem na grabiarce, woziłem

siano, układaniem stogi. Biorę ciekawo
u nich wozę się siano do stogów. Z
młodych brzołek robią „wałakuszą” jest
to kilka drzewek z gałązkami umoco-
-wanymi prostopadle do ośrodku, trochę
większego od ostryka, całość zaprzęga
się do konia, na którym konno bez
siodła siedzi chłopiec. Podjeżdża się
pod kopkę siana, przewracając ją
na te brzołki przypinają sznur
i ciągnie się to do stogu, tam
odwiązują sznur, jedzie się dalej,
siano zostaje przy stogu. Jest to
~~to~~ sprytne. Na większym polu do
takich chłopców wozących siano by-
-wało i dwudziestu. Praca ciężka.
Stojące obok siebie, a tyłek boli że
nie sposób usiedzieć. Jechaliśmy
więc leżąc bruchem na grzbiecie
koniskim. Stojące też są nie spokojne
bo stojące i baki dokuczają. Siano
ładowały i odbierały kobiety. Mężczy-
-nie było, byli na wojnie, kobietom
po nich pozostały wspomnienia, wspomi-
-nały więc nie krępując się chłopów.
Nasiuchatem się tam ~~to~~ sporo cie-
-kawych rzeczy. Wszystkie te prace są
bez porównania lepsze od plewienia
buraków. Wreszcie żniwa. Zostatem

pomocnikiem kombajnisty. Górej niż
obłąd. Upat, kuż, huk, tak przez cały
dzień od świtu do nocy. Ciężko okropnie
choć ja wiele tam nie robiłem. Głó-
-nym moim zajęciem było pilnowanie
stomg, wysypywanie pociągając za
oznurek, ale wystarczyło tam być przez
cały dzień. Jesteśmy stale głodni, bo
wyżywienie jest łące. Tak zwykle pół
kilo chleba i trzy rary postna zupa.
Jemy każdą jadalną zieloninę. Pisateli
już, że ziemia radziecka była osrana
tóż z głodu i z zieloniny, prawie
każdy cierpi na chroniczne rozwolnie-
-nie, niekiedy nawet z kwiaz. Kiedyś
chłopcy satóżyli się, że jeden drugie-
-go osra z odległości dziesięciu metrów
i osrał. Nieprawdopodobne, a jednak.
Ustęp na tej barie nie było, to też
prawie na każdym kroku można
było wdepnąć ~~do miasta~~. Z ciekawostek
malerzy wspomnieć o Łazni. Ruska „benia”
to coś nadzwyczaj dobrego, dla nas
nie nowość, bo na wileńszczyźnie były
banie takie same. Nowością było kompa-
-nie się wszystkich razem, mężczyźni, kobiety
dzieci. Bardzo się wstydzili tam chodzić,
ale i było to ~~dość~~ ciekawe. Byłem już
w wielku, w którym budzi się w ciowiek

zainteresowanie pięcią. Mielek też
pracował na tym odcinku, ale bardzo
miał z nim się wiodłatem, bo on stary
~~to~~ pracował w innej grupie. On się zali-
crat do mężczyzn. Do domu było nie
daleko, ze dwa kilometry czasem
chodziliśmy, ale tylko jak pozwalał na
to czas. W łazni trochę człowiek się wy-
mył, ale najważniejsze to wyprażyć uszy.
Wszystko w tym czasie dokuczają okropnie.
Nie było wprost rady. Jedynym i to
miał skutecznym środkiem była tur-
nia. Jak się szło do domu to zawsze
coś się zamosiło dla dzieci, albo kawałeczek
zapszczonego chleba, albo zupę z kolacji.
Trudno opowiedzieć jak ciężko jest nosić
przy sobie przez parę godzin, od obiadu
do wieczora kawałeczek zapszczonego
chleba. Chleba, który miał smak ponad
wszystko co kiedykolwiek w życiu jadłem,
którego zapach doprowadzał niemal do
omdlenia. I jakże ciężko jest żyć wiecznie
o pustym żołądku. Wszystkie myśli, marzenia,
wszystko co się w całym człowieku dzieje
podporządkowane jest jedzeniu. Nie ma
chwili wytchnienia. Kiedyś w dzieciństwie w
Polsce prowadzono się nam dobrze, nie wie-
dziliśmy co to znaczy. Czytaliśmy nieraz
takie broszurki, w których opisywana była

gehenna dzieci sowieckich umierających
z głodu, olzisz i mnie nie wiele brakuje.
Czasami coś kombinujemy z Mietkiem
żeby ulżyć troszeczkę. Raz pamiętam
Mietek z kolegą Rosjaninem ukradli woreczek
ziarna. Chyba to było wyka, było tego około
dziesięciu kilogramów. Mamy nie było w domu,
ja wróciłem nie z pracy i z miejsca
przystąpiłem do działania. Nastawiłem
duży garnek wody na zupę (miałem parę ziem-
kartofli ~~ziarna~~) a w drugim garnku nastawiłem
tę wykę na gęsto. Resztę ziarna w worecz-
ku zakopaliśmy w piwnicy pod podłogą.
W domu podniecenie. Dzieci cieszą się bo
będą miały pełne łożyska. Ja też. Mietek
z tym kolegą mają jeść z powrotem
to już i ich nakarmię. Sól nie było,
nie szkodzi. Nie możemy się doczekać,
kiedy to będzie gotowe. Nawet jest dość
smacznie. Wszyscy stoją przy garach, dają
niec od czasu do czasu po łyzce,
~~Wszystko~~ Jak przyjechał Mietek, ~~to~~ ~~my~~
byliśmy już najedzeni. Więcej już
tego ziarna nie opytowaliśmy. Odcierowca-
liśmy tę libację dość ciężko. Wszyscy.
Przypuszczalnie było to ziarno zapawione
do śiewu stąd zatrucie. Osobne miejsce
w opowiadaniu powinny mieć "Tandoryki". Są
to ~~ziemniaki~~ ^{Kartofle} zbierane ~~na~~ wiosną na

kartofliskach. Jesienią w czasie wykopków ludzie celowo zostawiają możliwie jałki najwięcej ~~ziemniaków~~ ^{kartofli} w ziemi. Przez zimę one przemarzną, a na wiosnę po orłajaniu leżą w ziemi aż zecerzą orać. Wtedy to się zbierało, robiło się z tego „placki” i się jadło. Nawet dość dobre. ~~Smakło może tu akurat~~ Te „tandoryki” trzymali ludzie przy życiu. Nie wolno było tego zbierać, ale aż tak mocno ~~to~~ nie pilnowali, ~~się~~ ludzie, w szczególności dzieci zbierali to masowo. Czasami ~~nawet~~ w czerwcu jeszcze trafiało się takiego wyschniętego ^{kartofelka} ~~ziemniaka~~, ~~tego~~ to już jadło się na surowo. Wyglądało to dość tajemnie. To wiecek z tufinki kość suchego krochmalu. Czego do ciepła nie jadł. Jak miałem wolne to szedłem do lasu, wybierałem z quiard młode wrony, sioły, faszczki, szpaki, a nawet i wroble. Szczególnie wroble są pyszne. Do tego dużo zieloniny takiej jak lebiada, pokrzywa, wspomniany już ślizun, korenice chyba kataraktu. Latem natomiast w zaroślach rosną bardzo dużo dzikiej czarnej porzeczki, kaliny, żerzyny i rokitnika (ablepika). Owoce tych roślin są nierównie bogate w witaminy. Jadło się tego dużo. Nawet ~~się~~

trochę ^{się} suszyło. O przetworach mowy nie było,
bo nie było w czym tego robić. Bardzo
ciężko było zdobyć jakieś kolwisk na cynie.
O cukrze ~~też~~ nie wspominałam, bo go nie
było wcale. Łatwo można było podkwaśić
makuchu. Słonecznikowy czy lincany był
dobry, ale najciężiej był dostępny repa-
-kowy. ^{lub chyba z nasion bawełny.} ~~Coś biedy można to zjeść, ale tylko~~
aby napchać żołądek. Jesienią harbu-
ry. W naszym sownozie był eroinozem
to nie udawały się, było tego nie dużo.
W sąsiednim sownozie, gdzie teren tro-
-chę się faldował, ~~nie~~ ziemia była
piaszczysta. Tam uprawiano tylko
harburzy na setkach hektarów.
Jak obojęwały to w naszym sowno-
-chozie było wielkie poruszenie. Kto
iż, ten szedł, jechał - tam aby
trochę tego nakraść. Nie było to
łatwe, ~~ale~~ bo pilnowali, ale nasze
wyprawy zawsze były skuteczne. Jedni
konno jechali żeby oszukać strażników
inni jechali wozem i czasami przewo-
-zili cały wóz. Zjeść tego można było
chyba bez ograniczenia, bo to jest
sama woda. Jedli i sikali. Mielimy
też działkę. Każdy mógł dostać 20 a wóś
pole, na którym mogli zreszcić sobie
~~zabawki~~ ^{kartofle}, pomidory i t.p. Działki albo

pracowników dawali zawsze na gorszym terenie, a już dla przedsiębiorców (tak nas tam nazywali) na terenie ~~całkowicie~~ nie nadającym się do użytku. Dlatego też nasze plony bywały bardzo nizkie. Żeby przeżyć zimę to trzeba było dla naszej rodziny około sto do stu pięćdziesięciu wiader ^{kartofli} ~~ziemniaków~~. My organizowaliśmy nie więcej niż pięćdziesiąt. W takiej sytuacji trzeba było stać głodować. ~~Kiedyś~~ Pamiętam - Mama była w Bijsku (bo ciągle wojowała o zdobycie jakiegokolwiek dokumentu, że jesteśmy Polakami) ~~My~~ Siedzimy w domu. Głodni okropnie. Wiemy że za usią są kopce buraaków pasternaków. Jest zima i to bardzo ostro. ^{Już druga} Mietek zdecydował, że jedziemy po buraki. Bieremy sanki, siekiere, worek i w drogę.

Trudność w tym, że trzeba iść przez całą wieś. Innej drogi nie ma. Wszędzie zarznięte. Jolziemy. Na miejscu, pierwsza co-to najedliśmy się, takich wprost z kopca. Potem natadowaliśmy pełen worek i ciągniemy ~~to~~ ^{do domu.} ~~spowrotem~~. Serce zamiera ze strachu. Co będzie jak zapię? Mówię, że ~~to~~ bardzo ^{się} boję. A Mietek ~~bardzo~~ stanowczo oznajmił ~~mi~~, że każdemu kto nam przeszkodzi gotów jest siekiere rozwalić głowę.

Wtedy dobieło miatem stracha. Zimno,
ciężko i takie emocje. Mało nie umarłem.
Wies przechralsimy zupełnie spokojnie,
~~tak że~~ Pod wieczór ~~byliśmy~~ ^{jestemy} w domu.

Buraki obrywamy, zamrażamy na kocię.
Z miejsce do roboty. Naobieraliśmy, na
robaliśmy siekierą, ob ^(dużego) opawka i gotujemy.
Wieczorem jak przyszła mama buraki
były gotowe. Jedliśmy to, ale jakże
bardzo ~~to~~ były nie dobre. Potem jeszcze
parę razy ~~jeżeli~~ chodziliśmy. ~~pod~~
~~te kopce~~ ~~buraki~~. Mielismy szczęście, nigdy nas
nie stąpali. Niesmacznie bardzo - niestety
nie mielismy wyjścia. Walka ze śmiecią
głodową jest czymś bardzo straszonym.
Może. ~~my akurat~~ ~~my~~ nie dotuczono, ale
dość często ocieraliśmy się o śmierć.

Ile trzeba było mieć wiary i siły wytrwania -
wierem. Widocznie mieliśmy, bo żyjemy.

Kiedyś też się zdobyłem na czyn desperacki.
Było to drugiego lata. Mieszkalismy
jeszcze we wsi z żydowską. Bardzo, ale to
bardzo brakowało soli. Wszystkiego brako-
wało, ale jak brakuje soli to jest bardzo
złe. Już lato, ale jeszcze przednowek. Głod-
no okropnie. Czasami łapię jakąś rybę,
czasami trochę makuchu, ale to wszystko
bez soli. Okropnie. A za wsią jest "met-
-firma" czyli duża chlewnia - obora

Właściwie cały kompleks hodowlany.
Bardzo ciężko było cokolwiek tam ukraść.
Pilnowali, a jak złapali kogoś to parę lat
mówiane. Na dworek koryta, w korytach
kawały soli krowom do lizania. Ale wesoło
zaczęli się. Cały dzień leżalem w
trawach i upatrywałem. Trochę tam cho-
dziłem między korytami, upatrywałem
odpowiedni kawałek i w odpowiedniej
chwili odrzuciłem go do w obrynie listie
topianym. Wtedy już spokojnie wyszedłem
z terenu farmy. Poszedłem obok koła, pod-
czekałem się, trwało to znowu bardzo
długo, odrzuciłem to dalej i jeszcze dalej.
A potem już spokojnie do torby, na plecy
i do domu. Ale nie tak znowu spokojnie,
bo musiałem przejść koło domu, w którym
mieszkałi chłopcy, a my mieliśmy z nimi
porachunki, a oni z nami. Jak mnie
zobaczyli to wybiegło ich cała zgraja.
Tylko podszedł do mnie i ~~zaczęli~~ zaczęli mnie
popychać, kopać, szarpać. Nie pytają co ja
mam w torbie i dobre. W pewnym momen-
cie zrobili zamach i całą torbę jedne-
go walniętem po głowie. W torbie parę kilo
soli, nie ma zartów. Dostał i padł jak
śluzgi. Rozpięzchi się, a ja w nogi do domu.
Zdobycie takiego kawałka soli, to było coś.
Czasami ci pilnujący byli nadgorliwi,

wtedy było gorzej coś ukraść, ale łatwo było
 znaleźć (u większości kobiet) że nie zwracali
 uwagi, albo wręcz wytykali, żeby dzieci trochę
 się pożywiły. Dwa lata pastem świnie. Było
 to daleko za wsia nad rzeką. (u dół rzeki)
 w letnich świnarniach. Tam dla prosiąt goto-
 -wały ^{kucharki} kisiel owsiany. Owsiana mąka zakwasza-
 -na odpowiednio i ~~stępa~~ gotowana ~~ku kucharce~~.
 Po zastęgnięciu wyglądało to jak galaretkę
 można było nalać do naczyńia wystudzić
 i był ⁻²⁴⁰⁰ ~~to~~ krążek. Pastuchowi chcieli się
 tego ~~bardzo~~ ^{bardzo} (byliśmy stale głodni). Dość często
 znajdowaliśmy ^{kisielu} krążki ^{podtrzone} u naszym
 sypialnym boksie. ^{Bardzo to było smaczne i pożywe.} Sypialny boks to jedna
 klatka z bregu świnarnika wymoszczona słomą
 My tam spaliliśmy. To wszystko było zrobione z
 olesek. Nie szczerne. Świnie były zaszczepione,
~~my~~ ^{Alesz świńska jest dużo większa od ludzkiej?} jeszcze bardziej to paru tygodniach
 spania prawie ze świniami byliśmy tak do kła-
 -dnie zaszczepieni i porzuceni, że nie można
 było na ciele znaleźć kawałeczka skóry bez
 bóbla. Koszule, bo kardy jakos miał, pra-
 -żylismy nad ogniem, otłukalismy kamienia-
 -mi, wybieralismy palcami nic nie pomagało.
 Żarty okropnie. A paszenie swin to, nie taka
 łatwa sprawa jak z psami, czy krowami.
 Nie. Ale nic nie można utrzymać stadła
 w kupie. Stale rozchodzi się, tak bez końca
 trzeba tego pilnować. A się mało. Często

Wskazywało się na to u pory było niż na syficzne

tu krowy

modliłem się chodząc po polach, płakaniem,
śpiewaniem ~~przeżywanem~~, i wspomnianem. Zdecydowanie
byłem gotów oddać życie za to, żeby być
w Polsce i być czysty i syty. Boże jak
było ciężko. Nie do opisania ^(stojąc u łeb przżyto bez litowci.) Ktośegóż dnia
byłem ~~zadowolony~~ ~~zadowolony~~ ~~zadowolony~~ tak umęczonej, i tak
spłakanej, że zostałem stało na polu
i poszedłem do domu. W domu powiedziałem
że jestem chory. Mama obmyła, jakoś nakar-
miła, trochę mi przesła. ~~Wtedy~~ w nocy ktoś
dobija się do drzwi. Gonię ^{z kantory} ~~od dyrektora~~.
Wzywają mnie do dyrektora. Mama sta-
nowczo powiedziała, że jestem chory i że mnie
nie puszczą. Boli spokój. W tym czasie Mama
była całe lato chora na tyfus. W ziemiance
batagan. Mama leży na podłodze. Młodsze
rodzeństwo nie może sobie poradzić. Koszmar.
Zostałem w domu, żeby trochę zająć się
domem. W międzyczasie plotłem koszyki,
oplatatem butelki, robiłem z blachy alumini-
nowej koryzki. Wszystko Trena sprzedawa-
ła. Ona umiała sprzedać, ja nie. Ja
umiałem podprężyć jak to się robi
i ~~zrobić~~ robiłem to sam. Umiałem
wypłatać bary, ~~i~~ wiersze o których pisa-
łem ^(robić) wanki. Nie było to łatwe, ale dawałem
~~sobie~~ radę. Na koszyki zwykle używatem wikliny,
której nie brakowało. ~~•~~ Rosta drisko. Natomiast
na trudniejsze trzeba było zdobyć korzeń.

A korzenie wisiały jak liany z osadającej
się skarpy nad rzeką. Treba^{nie} było tam
wspinać, przesami bardzo niebezpiecznie.
Nawisły ziemi i korzeni nad głową, a w dół
pięć, dziesięć metrów niżej szumiący nurt
wody. Udawato się. Jak miałem dobre, długie
korzenie to miałem co robić. Chętnych na
moje wyroby było zawsze sporo. ~~TTTTTTT~~ Ten dyre-
ktor przy każdej sposobności starał się
dokuczyć. Już ^{była zdrowa} mama chorowała, kiedyś
spotkał ~~mamę~~ i mocno wykrzyczał. Jak
szybko pytał „czy ty jeszcze nie padochła”
i narazie na tym się skończyło. Ale
na drugi dzień w kantorku golbie
dawali chleb porzedziata sprzedawcy,
ze dyrektor nie karat dać chleba
Polaczce. Nie ~~dałata~~ ^{dostawaliśmy} przez tydzień,
w domu bieda okropna. Dzieci już nie
pamiętają zapachu chleba. Mama mówi,
że nie będzie prosić. Trudno. Po dwieście
gramów na osobę. Nie dużo ~~to~~, a jak
bardzo brakuje. Wreszcie ja zdecydo-
wałem, ~~to~~ idę do dyrektora. Czy prosić,
czy walczyć nie wiem, wiem, że tak
nie można. Było już zimno. Opatuliłem
się i poszedłem. Wystraszony bardzo,
ale idę. Przeszedłem do kantory, ~~tam~~
w korytarzu mokro ~~to~~ i ciemno. Stoję
pod gabinetem, zamrznięty, ~~z~~ ciekam

aż pan dyrektor raczy zawotać. Widział
mnie, bo co chwila wychodzi do innych
pomieszczeń. Coś zatacza, denerwuje się
gestykuluje. Trwa to dość długo. Wre-
szcie zawotał ~~mnie~~. A ty chto choczysz?
Mówię, że chleba. Nie dał mi skończyć, tylko
mówi. ~~to~~. Rzućcie wy swoją matkę, bo
ona was poniższy. Sowiecki sojuz wami
się zaopiekuje i będziecie żyć jak
ludzie. Coś ^{w placu wybetkowanym} ~~mi~~, a on dał znać,
że rozmowa skończona. Wyszedłem z
scisniętym sercem. Tak mocno byłem wzruszony
że nie potrafiłem iść. Stałem tak chwilę z
plakaniem. Ale jak plakałem. Strasznie.
Myślałem, że nie dojdę do domu. ~~Idę~~ Idę,
przechodzę koło kantorki z chlebem, a spre-
dawczyni puka w okno i woła, żebym wsze-
-dt. Wchodzę, a ona mówi: „choć dyrektor
kazał wydać chleb. Nawet i ten zaległy”.
Nie do wiary. Zadzwonił. ~~to~~ Sumienie
go ^(jednak) ruszyło. ~~jednak~~. Dostałem półtora
bochen chleba. Boże. Jaka radość. Niosę,
wciąż, jem, płacę i cieszę się. Przy-
-niosłem do domu, jakże byłem
dumny z siebie. A ileż radości ^{wygodniałym} dzieciom.

Jesienią ^{**} ^{**} ^{*} zabrać pieczyśmy, zie-
-niankę na zimę, kartofli mieliśmy
nie wiele, foszkę zabrać pieczyśm dre-
wka na opał i ciekamy ^{na} zimę. To

już będzie trzecia. ~~zima~~. Jakże będzie?
czy przetrwamy? Ludzie boją się zimy, bardzo,
my tym bardziej. Wcześniej przyszło trochę
stały, potem dość długo mroz bez śniegu.
Ale taki do ~~pr~~ pięćdziesięciu stopni poniżej
zera. Wpiero chatę dokładnie zmoczyło,
potem zmroziło, aż ~~w ścianach~~ ściany pokryły
się lodem, a w środku my. Trwanie, że bez
odzieży. Jakże mamy takich małych suszyń,
okrywamy mniejsze dzieci i twamy. Nawet
spalimy w piecu. Drewna dużo nie było,
nie można było napalić, ~~żeby~~ ^{aby} utrzymać
jako taką temperaturę. Żeby zdobyć opału
treba ~~było~~ stale chodzić po zawoślach i
zwodzić do domu co się dało. Prymarcałismy
strasznie. Nie do opisania. Znowu wtazimy
pod podłogę. A zima nie zawtaje. Ostra
bardzo. Jedną z ostrejszych tam na Syberii.
Pod podłogę obłąd. Dzieci gęte, ~~ciemno~~
ciemno. Szczyg. I też zimno. Twamy.
Czternastego stycznia roku 1944, plotem
betyskawicy obiega ^(sordoz) wiadomość. Zmarł
dyrektor. Dylew kwi do murzku. Był
taki wyposiony. Wiadomość poruszyła
wszystkich doogębnie. Nas szczególnie.
Ludzie cieszę się, ale bardzo dyskretnie.
Nie wolno. Boją się. Był takim tyranem.
I już się skończyło, A tak nie dawno
byłem u niego. Mądrył się. Robił

co mu się podobało. Jestem przeważo-
-ny. Cieszymy się bardzo, ale boję się, że
ja - my uprosiliśmy ~~z~~ Ostrobamskie, ~~z~~
i oto nas wystuchata. Nie chcieliśmy
przecież, żeby aż tak. Straszne.
Na pogrzeb wypędzili wszystkich, ~~ludzi~~.
Też byłem. Mama płakała. ~~stanie~~.
Prawie, że mdlała. Batem się, że może
umrzeć. Nie z żalu płakała, Nie. Mózg osty,
dot wykuty w zmarzlinie. Długie przemówie-
-nia. Ludzie zmarznięci, a w sercach otucha.
Wyraznie spodziewamy się poprawy naszego
bardzo dramatycznego losu. Przecież
giniemy. Nie myliliśmy się. Dyrektorem
został zwykły ^{Rostupin} członek partyjny.
Nawet trochę z niego pokpiwali, że jest
pryglupem. Jakoś tam zaczęli rządzić.
~~Te~~. Pewnego dnia jadąc kogoś naszej
ziemianki zatrzymał się i wstąpił ~~do~~
~~z~~. Pokaż Polaczka jak ty żyjesz?
Począł dat, pokisał głową i zaczął przejść
do kantory. Mama poszła. Zdecydował.
Dam Ci mieszkanie we wsi, dam chleb
jak dla pracującego tj. pięćset gramów,
a ty będziesz sowchozową szwaczką (jedna
maszyna do szycia we wsi). Będziesz szyc dla
ludzi - co oni tam zecerą, i oni będą za
robotę płacić. Czyż kto może, Roboty
dużo, bo każdy coś ma do Tatiana

prerabiania i t.p. Propozycja piękna. Jak powiedział tak się stało. Co prawda mieszkanie nie szeregowe, ale lepsze bez porównania od ziemianki. Południowa strona dwórki ~~dwórki~~ domu. Sien i dwie izby. W środku dość dobry piec. Tylko na całej długości, przez obie izby jedno bierwiono zgnito. Dziwna, że można przez nią wstąpić. Jak mogliśmy bliżej zalepiliśmy, dali byka, same ze skrzynią i stoną. ~~z~~ ~~się~~ ~~przewodzący~~ ^{się} Nie takie to proste. Jest bardzo zimno, a dach gęsty. Organizujemy jakies poręczne łacny ~~z jedzeniem~~ awijamy dzieci z jedzeniem. Właściwie to ja już byłem w nowym domu palitem w piecu, a Mietek z Mamą zainicjowali cały dobytek i wiozł. Nawet prosiaka mieliśmy. Takiego zachitycznego. Nie wst, bo nie było czym karmić. Prosiaki zakwiczat, był się przestraszył i w nogi. Uciekł z saniami i z dziećmi aż na basę. Zanim go Mietek dopędził trwało to co najmniej drugie tyle czasu. A mroz nie żartuje. Przyjechali ~~z~~ pomarsznieni okropnie. Od tego czasu życie nasze zmieniło się radykalnie. Teraz było ciężko. Czasami nawet bardzo, ale nie do co tam na cegielni. No i nadzieja powrotu ~~zaczęła~~

świata. Mama zaczęła chodzić do Bijska
i do rejonu, (wśródzie pan dyrektor podał
nas jako rodzinę białoruską) trzeba było
to odkręcać. Nie było to proste. Szczęście, że
nikdzie nie było podpisów. Po matu, po matu
wystarata się taki dokument, że jest
Polką. Radość nie trwała długo. Gdzieś tam
w biurze powiedziano, że „dobre, pojedziesz
do Polski, ale dzieci nie damy, bo nie ma
pododu, że są twoje” Znowu problemy, zno-
wnu chodzenie, błaganie, przekonwanie,
płacz. ~~Wówczasem doerkatizmy wiosny~~
Strach pomyśleć, ~~że~~ gdyby był Kunicki,
nigdy, ale to naprawdę nigdy by Mama
tego nie zatatrta. * ~~Wówczasem~~ Doerka-
-lizmy wiosny. Będzie to już czwarte lato.
Już wiemy, że wojna chyli się ku koń-
-cowi. Walki toczą się już blisko
Polski. Jest nadzieja. Może pretwamy.
Najgorszy przedówek ~~ale~~ Jesteśmy już
zahartowani, w tym najtrudniejszym
czasie idę znowu paść świnie. Jest
ciężko bardzo, ~~ale~~ jestem jakby silniej-
-szy niż Tatniej. W domu też mają
trochę łzej. Bynajmniej nie muszę
dzielić się swoją porcją chleba. Tak
jak w ubiegłym roku jemy kradziony
kisiel, a w wolnych chwilach jagody
i owoce. Niedziś kierowniczkę przyszła

i powiedziała, że mam iść do mamy
i powiedzieć iż jest dobry prosiak,
którego można kupić za sto rubli.
Ona z mamą była w bardzo dobrej
kumitywie, więc propozycja była po
znajomości. Pośredni, Mamma przysła
wpięćdziesiąt rubli i ~~wtedy~~ poszliśmy
po ~~ten~~ prosiak. Upał okropny. Idziemy
ze świniarką do ~~jednego~~ boksu, ta-
kiego w jakim ^{spimy} ~~spimy~~ tylko z innej
strony. Już w pobliżu zaczęło śnieżyć,
ale jak ona odkryła z pod stamy,
jak zobaczyliśmy chmurę much i
bardzo chudego i granatowego pro-
siaka z obrymym bruchem, to ode-
chciało się nam nięsa. Mamma powie-
działa, że wymaga, że nie ma zamia-
nu otruci dzieci. Zabrata pieniądze i
poszła do domu. Na drugi dzień coś
pokwęcili. Rano nie dali chleba. Poszliśmy
do pracy tylko o zupie. A zupa była
licha bardzo. Z obiadem też odlekli
dość długo. Nic nikt nie oponował.
"Obiad nie gotów" i nie ma dyskusji. Słodkie
(świniarki i pastuchy) czekały cierpliwie.
Wreszcie około ~~południa~~ ^{po południu}
wydali chleb i zupę. Zupa była ugoto-
wana na tym prosiaku. Jedliśmy, bo
byliśmy bardzo głodni i słabi. Kuchnia

-ki potem opowiadały jak zwracały podczas
przygotowania i gotowania. Okropność!
Latem przyszedłem do domu i już
więcej nie pracowałem. A to łowitem
ryby, a to plotłem koszyki, a czas się
otwierał bardzo. Nie można było się docre-
-kać. Żgnite biewiono w scianie naszego
domu doognito do reszty. Zrobiła się
dziura i zaprzętało zawaleniem. Treba
było się przenieść. Nie bardzo było gdzie.
Wojna już się dawno skończyła, czekamy
więc ~~już~~ odjazdu. Nie martwimy się za
wiele, bo to już, już. Ale to się odzlekato
odzlekato i okarato się, że trzeba będzie
jeszcze zimować. Trudno. Zamieszkalismy
w takim domu w którym nie było
pieców. W obliczu zimy przenieśliśmy się
jeszcze raz. Dwie izby, piec i to wszystko.
Okna powybijane. Jakos potatalismy i
twamy. Nie wszystkie formalności związane
z wyjazdem są zatatrione. Mama chodzi
do Bijska i do rejonu. Zatatrza i szuka
żeby ~~nie~~ czego nie przegapić. Ja chodzę
na drugą stronę rzeki po drewno. Miałem
pracuje ~~tu~~ w transporcie. Jechdzi po stronę
i po drewno. Czasami zabieram się z nim
wtedy łatwiej, nie trzeba tyle ciągnąć
Peine sanki ^{sa dość ciężkie} drewna. Mam ładne sanki,
dobry ^{narzątki też wspaniale zrobione} siekierę, wczemnie do przywiązania

drewna i takie specjalne szelki do cię-
nięcia. Ręce muszą być wolne, żeby wparie
czego mógł walczyć śniegiem policzki.
Bardzo łatwo można było odmrozić.
Szczególnie jak się wracało z drewnem
do domu. Rzeka około trzech kilometrów
szeroka. To jest bardzo daleko. Twarzą w
kierunku zachodzącego słońca, ~~się~~ słońca.
Mroz pod wieczór wzmagat się i tak
smalit po policzkach, że małe przegię-
nie mogło się skończyć. Czasami
byłem po drewno sam, a często było
nas kilku. Raz byłem z dziewczyną.
Chyba trochę starsza odemnie. Zbieramy
sobie drewno a w oddali słyszemy
jakby głośny, jakby stukanie siekiery, ale
nic to nas nie obchodzi. Wreszcie z
za krzaków wybiega mężczyzna i do nas
my w nogi. Uciekamy co tchu, ale on
był szybszy, doapnit. Spodobaty się je-
mu moje sanie i siekiera. Odebrał.
Zapamiętatem go łatwo, bo miał całą
twarz w strupie po odmrożeniu.
Na jutro Mietek zorganizował wyprawę
Już nawet wiedzielismy gdzie mieszka.
Po drugiej stronie rzeki. Przejedalismy.
Było nas chyba szesciu. Zestalismy go
w domu. W ziemiance starszka nie
piecu (chyba matka) i on krątający się
- po chacie

Mietek pyta się czy to ten? mówię, że tak. Rzucasz się na niego z batem zwiniełym w kilkoro i wali po głowie. W ziemiance pełno parę, urask, facet ze strachu klęka na kolana i coś jęczy. Oddawaj saniki i siekiere. Nie przyznaje się. Patrzę a na podłódzie pod ^{prycerę} moją siekiera. Choytam i kryce^{że} jest. Chłopcy jeszcze go tłuką. Gdzie saniki? Nie ma. Już komus sprzedat. Siekiere odzyskaliśmy. Saniki zrobitem następnę. Już nie staratęm się, bo i wiosna bliska i coraz bliżej wyjazdu. Mieszkanie okazało się dość zimne, to też ciężko było poradzić o opałem. Był w pobliżu barak i tartak. Tak po cichu co wieczór ~~ra~~ ukradtem ~~deski~~ deskę, lub parę desek i jakos się radziło. Pod koniec lutego Mama znów poszła do Bijska, a my ^{zostaliśmy} trzy dni w samy. Bez niczego. Pojechratęm na nartach (~~niezadowolony~~) wódce, ~~ale~~ daleko od domu, w ciemnym wikliny, odmrozitem i dawaj plotę koszyk jeden, drugi. Irena wiezie do wsi, sprzedaje. Nie zdężyła wrócić, a tu Mama, Kmezcrona i uradowana. Dwudziestego siódmego marca odjeżdżamy do Polski.

Cieszymy się, Modlimy się i pracujemy
z radości. Boże. Wracamy. Biegnę
na bieżąco zawiadomić Mietka. Kierownik
jak się dowiedział, że odjeżdżamy
natychmiast zwolnił ~~Mietka~~^{go} z pracy.
Jesteś już wolny. Ciesz się razem z
nami. Nastąpi chwila przygotowań i
wyczerkiwania. Mama z Mietkiem poszła
do rejonu na szerepienie. Ja nie musia-
-tem. Ale po jakiś czas, gdzieś w połowie
marca przyszło pismo, że ja też muszę być
zaszerepiony. Zastrzyków białym się jak ognia.
Nic nie poradzę muszę iść. Rano wstąpiłem
-tem się. Jeszcze ciemno, bo daleko, osiemna-
-ście kilometrów w jedną stronę. Mroźno.
Kawałek suchara na drogę. Jolę. Po drodze
mijam pierwszą ~~parę~~, gdzie kiedyś
pracowałem i aż do rejonu pola.
Wiem, że kiedyś Mamę i Mietka stąpali
na tej drodze sadymka, i że omal co
nie zginęli. Dzisiaj jest słonecznie,
nic mi nie grozi. W rejonie dostanę
zestrzyk, (pod Topatkę) kupię supę
"szczy" (ogórkową), postną i niesmaczną
zjadłem z sucharem i w drogę do domu.
Zrobiło się ciepło południe. Już słoneczko
roztopia wierzchołki śniegu. Jest mi

ciepło, porozpinałem się i idę. W wozie
pełnym śniegu idzie się ciężko. Jolę,
gręzną. Umoczyłem się i umoczyłem.
~~się bardzo~~. A do domu daleko. Nie spo-
strzegłem nawet, że mam temperaturę.
Zastrzyk zrobił swoje. Jak mi fajnie
baczę (u potowie drogi) to było już sza-
-ro. Na wieczór znów mróz. Poobmarzałem
jak bałwan. Wszystko co było mokre
zamarzło na kość. Duże utrudnienie
w poruszaniu się. Szedłem jak w tran-
-sie. Przecież ja nie mogę tu zginąć.
Pracierz jedziemy do Polski. Modliłem
się i szedłem ^{ledwo doszedłem} do domu ~~ja~~ musieli
mnie wzebrać i wsadzić na piec.
Sam nie mogę. Jak wlałem ~~na piec~~
~~toż~~ do odjazdu już nie stałem. Ciężko
zachorowałem. Nawet nie wiadomo co ~~jest~~
jest, ale choroba dość szybko wyklawowa-
-ła się. ~~Władem~~. Malaria. Tam dawali
zastrzyki jedną igłą. Organizm słaby,
wszczepioną chorobę nie zwalczył.
Bardzo nie dobre. Czekamy, może
choroba ustąpi, ale mowy nie ma, cavaż
bardziej trzęsie. Ostabiłem leżę. Strach
komukolwiek mówić, że ^{jestem} chory ^{przez} bo odjazd.

O porostaniu i rozciąganiu ~~się~~ szpitalu
mowy nie ma. Ja muszę jeść! Tak
dotrwaliśmy do dnia wyjazdu. Jeden
dzień choroby, drugi ślaby. Trzęsło
co drugi dzień. Drużniestego siódmego
ranitko wyjazd. Dali sanie ze skrzynią
i siarą, ~~ja~~ pożyczeli kołuchy, owinęli
dzieci i w drogę. Mnie wypadł dzień cho-
roby. Trzęsło, zwracaniem, mdłaniem, niewiele
pamiętam z pożegnania. Jedziemy do
rejonu (nie po drodze to, ale tam mają dać
prowiant) Przyjeżdżamy, Mama idzie do
sekretarza rej-komu. A jakże, bardzo ład-
nie mówi, pożegnał, dał rozpiszkę na dużo
prowiantu. (Będzie co będzie szczęście osób i
droga daleka.) Po drodze w Katuńsku
w magazynach pobieramy. Przyjeżdżamy
do Katuńska, a tu magazyniera nie ma.
Czekamy, jak znaleźli magazyniera, to
się okazało, że chleba niet, masła niet,
miasa niet, i tak nie dostaliśmy nic.
Nie było ^{straszna} mowy o perfidnej bezczelności.
nałit. Do Bijska jeszcze bardzo daleko.
Dojechalismy wieczorem. W dużej świetlicy
w kątku dostaliśmy miejsce na podłodze.
Mama na jutro wszczęła alarm, że nic
nie mamy na drogę.

Jesteśmy w coraz większym niepokoju.
Jestem chory, jak się dowiedzą to pre-
padło. Zabiorą do szpitala, rozstrzelają, albo
wogóle nie pozwolą jeść. Tyle tęsknoty,
tyle modłów, płaczu i teraz takie ^{nieszczęście} ~~przebieg~~.
Sierżymy ^{jednak} że uda się, że przetrzymamy
wszystkich. Ale to nie jest wcale takie
łatwe. Zarządzili Tarnię. W Tarni derynu-
fekcja. Derzynkowali za pomocą parzy.
Ludzie wynędziali poddani taliej, "ope-
racji" nie wytrzymywali. Po pierwszym dniu
były ofiary śmiertelne. Panika ogarnęła
resztę ~~ludzi~~, bo codziennie dnia grupa
szła do Tarni. Wykombinowaliśmy, że w
Tarni i na przegłodzie lekarskim
mnie nie ^{Nie mogłem być} ~~był~~ ^{był} chłopak podstarzony.
Mama uprosiła. Nie miała zresztą trudno-
ści, gdyż ludzie byli wyjątkowo życzli-
wi. ~~Taliej~~ Dwór półtora kilometra od
~~tego~~ klubu była boznica kolejowa. Tam
mielismy być ratadosywanii. Tylko kiedy?
Dla mnie zmartwienie dodatkowe. Jeżeli
wypadnie na przebieg choroby to dobrze,
ale jeżeli to będzie w dzień choroby? Co
wtedy? jak dojść? Tak mocno mnie miota-
ło, że nie mogłem ustać na nogach.
Strach myśleć. A dzień za dniem
mija. Mama dostała sporo pro-
wiantu, maki, konserw angielskich ^{suchej} ~~niebieskiej~~, 18

Napięta głowa u jakiegoś ludzi, takiego
niby chleba. Jesteśmy gotowi, tylko na
litość Boską żeby nie stąpali nwie z
tą chorobą. Syham chinię. Nic nie
pomaga. Któregoś dnia wybrałem się
na boornicę, żeby zobaczyć i przetrenować
trasę. Nawet nie źle się opisałem, ale
był to dzień bez choroby. Zatajonych
wypadł na dzień czwartego kwietnia.
Moje urodziny. Górej, bo dzień choroby.
Od rana ^u ruci ^u duży. Wystręży, sprawdza-
ją, a ja walczę ~~z~~ z sobą, z chorobą, ze
słabością. Za wszelką cenę. Muszę. Muszę.
Muszę iść. Mietek z ciotkami i Mamą
zrobili ubezpieczenie i ruszyliśmy. Pamiętam
na jednej kontroli, poszło gładko, ~~ale~~
~~potem to nie było~~ ^{reszty nie} pamiętam. Przewadzili
nieprzytomnego. Potem pamiętam jak pod-
sadzali ~~nie~~ i wpychali do wagonu.
Obudziłem się na górnej przyczepie, szczę-
śliwy, że już po strachu. Następnego dnia
przed południem odjazd. Nie pokazywałem
się wcale. Tylko słyszałem płacz, ~~z~~ kryki
i śpiewy. Wzruszenie straszne. Jedziemy.
Zostało bardzo dużo ludzi. To ci, którym
nie udało się udowodnić, że są Polakami
lub ci co podpisali obywatelstwo. (08)
Ludzie z pociągów wzięli
rozpacz tych biedaków, ale nic nie

Były wypadki rzucając się pod koła
mogli pomóc w Nowosybirsku. Tazwia.
~~tu~~ I tu ^{też} obowiązkowa. Ludzie spani-
lowani. ~~Też~~ kłóto się, ^{też} nie byłem.
Batem się natomiast o Mamę. Była
przecież taka umęczona i słaba.
Z Nowosybirsku jedziemy na zachód,
a to znaczy, że coraz bliżej do Tolshi.
Boże, jak bardzo tęsknimy i pragniemy
być wreszcie u ojczyzny. Jesteśmy bardzo
biedni, ale szczęśliwi. Niewiele rodzin wra-
ca w komplecie. My wracamy całą rodzi-
ną. O Ojcu nie wiemy nic. Jak to się
stało, że nie poginęliśmy, trudno opisać.
Wie o tym najlepiej nasza Mama i
chyba nasza nieodłączna orędowniczka -
Ostrobianska. Tyle modłów, tyle łez wylań-
i tyle wiary, nie mogło być nie wystu-
chane. Na postojach czasami też wyprzedzę.
Widzimy dużo kalekich, a to z odmro-
żeń, a to z niedożywienia. Są to w
większości moi rówieśnicy i młodsi. Czasami
wydawało się, że nasza bieda wcale
nie jest taka duża. Byli biedniejsi.
Ale jakże szczęśliwi. Nie zapomniał chłopca,
nie w wózku ^(inwalidzkim) tylko w takim taborecie
^(ze sterem wiadrze podwieszonym pod spodem)
~~staszoręznie~~ ^{prymitywnie} wolejonym, siedział i śpiewał
Jeszcze Tolsha nie zginęła, a był przy
tym tak brudny ^{tak} biedny i ^{tak} wesoły. (52)
że nłakac się chciało.

Tymczasem zbliżamy^{ATJANIS} się do dawnej
granicy Polski. Smutno, prawie nie
ma śladu, że była tu Polska. Po
Słowem Wielkanoc. Choroba może z wa-
żenia jakby trochę ustąpiła. Dekonuje
nasz wagon napisami i oczywiście
oślem z koroną. Wszystkim podoba
się ~~to~~. Są to rysunki kieda na wa-
gonie. ~~Straszy możliwości nie było,~~
Wreszcie Słow i Rawa Ruska, koniec.
Tu będziemy przeładowywać ~~się~~ do
polskich wagonów. Parę dni to trwa.
Widzimy wojsko polskie, widzimy tran-
sporty jeńców niemieckich przeładowy-
wanych do ruskich wagonów. Są
straszni. Okropnie biedni. Nie widziałem
w życiu Niemców, nie czuję krywy
jaką naszymu narodowi zrobili. Jak
widzę padającego człowieka z wycięcie-
nia, jak widzę, jak jest popychany
kolbami i baquetami, jestem uskręśnię-
ty. Przecież to jest okropne. Wreszcie
widzimy bardzo dużo wagonów spalonych
kilka transportów, kikutów po wagonach.
Ludzie mówią, że są to transporty
spalone przez banderowców. Nasz byli
tacy, co przyszli do naszych wagonów
i grozili, że i ~~nam to grozi~~ (8t)
~~grozi i będzie~~. Nas to czeka.

Ludzie panikują. Tak blisko do celu,
ale jak się tam dostać. Przetadowali
i ruszamy. Piękne słoneczne popołudnie
zbliżamy się do ^{nowej} granicy. Wzruszenie
osiąga szczyty. Przez otwarte okna i
drzwi wagonów wyglądają wszyscy. Śpiewają,
modlą się, płacą. Tumult okropny.
Widzimy żołnierzy polskich na koniach.
Tak jakby asekurowali. Takie chwile
przeżywa się w życiu nie często. I strasne
i piękne. Jesteśmy w Polsce. Pociąg jedzie
przez małe wsie, przez lasy, wreszcie
pod wieczór zatrzymuje się na bożnicy.
W dali widać parę domków, las i
dość duży plac. Ogłosili, że tu nocuje-
my. Ludzie porozmawiali się, cieszą się
całując ziemie, a Mama poszła do domków
żeby kupić coś do jedzenia. Miała jeszcze
pieniądze i miała nas pięcioro głodnych.
Sostata bez pieniędzy. Małe wiaderko
kartofli. Przepiękne. Polskie. Cieszymy się
obieramy, natychmiast robimy ognisko i
już kartofelki się gotują. Wzdechamy.
Niestety nie doczekaliśmy kolacji. Z lasu
o zachodzie słońca wyszli banderowcy
i zaczęli pociąg ostrzeliwać. Panika
zrobiła się okropna. Chwaliliśmy się
gdzie kto mógł. Ja wskoczyłem (tę)
do wagonu i leżałem na podłodze.

styszaniem kule bijące o wagony.
Trwało to chwilę, zaraz po tym stysz-
-my komendy wojskowe. Polskie.
To nasi żołnierze biegli na obstarę.
Z repartiantów nie zginął nikt. Paru
banderowców podobno ztapali. Nas
szybko zatadowali do wagonów bo
uspokoito się i w drogę. Całtka
noc jechalismy. Styszeliśmy głosy
żołnierzy, pociąg stawał, jechał, stawał.
Rano byliśmy ~~już~~ w Zernoscin. Wtedy
powiedziano nam, że było bardzo groźnie
że most był zaminowany, że zginęto
w tej strzelaninie kilku żołnierzy, i że
już teraz nic nam nie grozi. Najgorsze
za nami. I tak było. Spokojnie dojecha-
-liśmy do Łodzi, ~~z~~ potem na południe
na ziemię Odryskane. Pierwszego maja
bardzo wczesnym rankiem ~~w wagon~~^{transport}
nasz zatrzymał się we Wrocławiu.
Wagon nasz stał akurat na wysoko-
-ści ulicy Trebnickiej na dworcu Nadodrze.
Tu dowiedzieliśmy się, że to już koniec
naszej drogi. Nieśmiało zaczęliśmy wycho-
-dzić na ulicę. Może opusów. Tu po raz
pierwszy w życiu zobaczyłem tramwaj
i takie duże miasto. Jesteśmy
praważeni. Precież to nie jest
nasza Goryzna. Co będzie?

Jakie losy nas czekają? Nikt nie wie.
Jesteśmy wynędzniali, zdziwili do tego
stopnia, że nie umiemy nawet myśleć
po polsku. Ludzie panikują. Co dzień
opowiadają inne bajeczki. Wszystkie
dążące do tego, że to tylko przejscio, że
na Boże Narodzenie napewno będziemy
na swoim. Mam siedemnaście lat,
jestem rozdarty okropnie, do tego jeszcze
ciężko chory, bo malaria nie ustępuje.
O ojcu nie wiemy nic. Zamieszkałismy
w Złotnikach na przedmieściu Wrocławia.
Bardzo piękne ogrody, sady, mają
tylko jeść nie ma co. Gotujemy na
okropną supę seczawową, trochę dosta-
jemy prowiantu z PURLu ale to wszystko
nie oła tak zgnodniałej katastrofy. Młod-
sze rodzeństwo zastanawiają się czy
nie lepiej byłoby wracać na sybir. Cze-
samij gorzej było niż ~~tam~~ na sybire.

~~Uważaj! dopiszaj ze słowami (E)~~
~~Wracacie~~ Mama zlatwia dom dziecka.

Oddaje czasowo całą pracę do domu
dziecka, gdzieś na Biskupinie. Ja zostaje
~~do domu~~ ^{w domu}. Żyjemy tak we dwoje. Jest
trochę łatwiej. Jest już lipiec, sierpień.
Już cośkolwiek można zjeść w ogrodzie.
Więc nie jest źle. Na torami jest
jednostka wojskowa, przywście (St)
nie Polsku. Kaidego dnia: noc

Łażą po osiedlu pijani żołnierze rosyj-
scy, strzelają, wrzeszczą, gwałcą. Sądzie są
wystraszeni. My też. Staregoś dnia piszę
~~ja~~ list do Gdyni, do ojca rodziny. Nie
znamy adresu. ~~te~~. Piszę Imię i nazwisko
stryja z Gdynia. Nic więcej. I o dziwo
list bardzo szybko dochodzi. Co prawda
nie do Teodora, a do Józefa, ^{ale} ~~też~~
brata ^{ojca}, wielka radość, wszyscy żyją i mają
kontakt z ojcem. Prysyła list, zdjęcia
ojca z Włoch (bo był w tym czasie we Włoszech)
wysyła wiadomość do ojca, i tak w dość
szybkim czasie byliśmy wszyscy w kontakcie
listowym. Za listami zaczęły przychodzić
paczki i teraz dopiero trochę oddechlismy.

Był to wreszcie ~~1946 roku to koniec~~ ^{1946 roku to koniec} między czasem pozby-
-lem się choroby. Lekarze nic nie mogli
powiedzieć, a jedna pani też sybiwaczka
przygotowała miksturę (fajko, spirytus i
chinina) taki kogiel mogiel. To parę
dniach karata to wypić, było tego
pełna szklanka. Wypić do miatem
w dzień choroby, w chwili jak tylko zaczy-
-nato trząść. Tak zrabitem. Danka była
straszna, bo za godzinę byłem już nie-
-przytomny. Chyba cześć doby leżatem
prawie martwy. Bardzo niewiele z tego
pamiętam. Majaczyta mi się wojna (ht)
pożary, gruzy. Zdawało ~~mi~~ się, że

tu koniec
← uważało się po "bunty" było mi na sybirce

jestem przysypany, ~~nie~~ jak obudzić
się, ~~to~~ byłem bardzo ostabiony - Pomal
pomatu nabratem siły i malaria
dalek mi spokój, do drześniejszego dnia
Nie wdajcie. * * *

patrz Uwaga! na ofic. (75)